

DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



RYŚ. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (3)

Opinia / M3

Widmo etatyzmu

Zarówno rządowa strategia rozwoju kraju, jak i dokumenty prezentowane przez opozycyjny PiS są zaskakująco spójne ideologicznie: więcej państwa w gospodarce
pisze Sebastian Stodolak

Analiza / M6

Polska musi się stać niezbędna

Bezpieczeństwo można osiągnąć nie tylko przez zacieśnianie partnerstw wojskowych, lecz także przez budowę strategicznej pozycji kraju w globalnym łańcuchu wartości
zauważa Piotr Wójcik



Chiny / M13

Cierpliwe układanie kamyczków

Gdy Trump grozi światu kijem golfowym, Chińczycy grają w go. I zdobywają na globalnej planszy kolejne pola pisze Witold Sokała

Społeczeństwo / M18

Sztuczni i wpływowi

Influencerzy AI są tańsi i pewniejsi od tych z krwi i kości. I bardziej niebezpieczni, bo nie mają skrupułów relacjonuje Ewa Karbowicz



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Prezydent Nawrocki złapał rząd na kłamstwie

Jan **Wróbel**

Swoim listem w sprawie Mercosuru oraz TSUE Karol Nawrocki ośmieszył rząd. Premier zagalopował się swego czasu, zapowiadając, jak to będziemy skutecznie walczyć z Mercosurem. Przegraliśmy, mimo że występowaaliśmy w tej samej drużynie, co Francja. Niestety, Unia Europejska jest jak futbol: tu też na koniec najczęściej wygrywają Niemcy.

I trudno. Mamy z Unii korzyści, możemy czasem odnotować stratę. Zresztą nie jest wcale powiedziane, że w dłuższym czasie również Polska na Mercosurze nie zyska. Bo Europa zdobyła dzięki tej umowie pewne punkty w rywalizacji z Chinami – to pole ścierania się wpływów jest dla nas najistotniejsze. A prawdę mówiąc, jeśli kaszlącej niemieckiej gospodarce uspokoi się oddech, to dla polskiej gospodarki stanowić to będzie korzyść, a nie zagrożenie. Tak w każdym razie było do tej pory.

Czy trzeba było zatem odstawić rytualny taniec bojowy w sprawie skargi Polski do TSUE? Jeszcze w styczniu minister rolnictwa gromko zapowiadał, że będzie skarga. W obronie polskiego rolnictwa. Potem minister rolnictwa napisał

do ministra finansów, wnioskując o rozważenie skargi na decyzję o „tymczasowym wprowadzeniu” umowy z Mercosurem. Przecież trzeba bronić Polski (od 1 maja państwa, które ratyfikowały już umowę, będą od tegoż 1 maja sprowadzać z tamtego obszaru, co chcą; my będziemy tylko na to patrzeć). A 24 marca Sejm jednogłośnie przyjął uchwałę zobowiązującą rząd do złożenia skargi. W uchwale napisano, że ma to zrobić, nie oglądając się na inicjatywę Parlamentu Europejskiego, który chce, by TSUE zbadało zgodność umowy z prawem unijnym.

Za uchwałą głosowali też członkowie rządu. Tego samego rządu, który nie składa obiecanej skargi. Mało tego, tłumaczy nam, również ustami Donalda Tuska, że byłby to krok niepotrzebny, ponieważ sprawą zajęli się już poważni ludzie – Parlament Europejski. Ministrowie i posłowie, którzy zobowiązali się do inicjatywy mimo działań Parlamentu Europejskiego, tłumaczą nam po dwóch tygodniach, że nic nie robią, bo przecież PE... Prezydent Nawrocki złapał rząd na spalonym. A mówiąc bez metafor – na kłamstwie. ©P



FOT. BALINT SZENTGALLAY/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

Wywiad / M11

Sztandarowy antyliberał

Siła Orbána jest konsekwencją słabości jego przeciwników, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych mówi Carsten Q. Schneider

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowiec
Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PIK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-
Rybczyk (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KIP i UiŚ)



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczone jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpatności; ©© – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

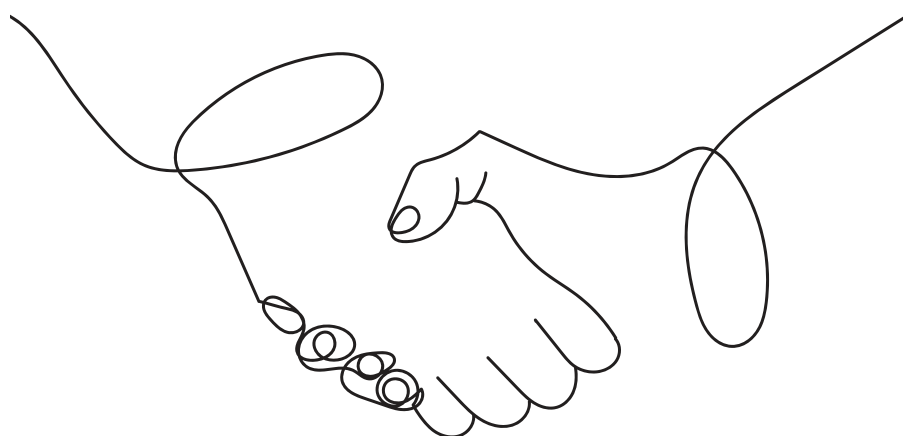


Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

DGP Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Widmo etatyzmu



FOT. HAFIZ283/SHUTTERSTOCK

Mam złe wieści. Zarówno rządowa strategia rozwoju kraju, jak i dokumenty prezentowane przez opozycyjny PiS są zaskakująco spójne ideologicznie

Sebastian

Stodolak

Czy ja wyglądam na faceta, który ma plan? – te słowa wypowiedziane przez Jokera w filmie „Mroczny Rycerz” mógłby powtórzyć niemal każdy polski polityk. Ale nie były premier Mateusz Morawiecki. Za jego rządów, w 2016 r. opublikowano dokument: „Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”. Zaś w marcu 2026 r. ukazał się jego następca: „Powered by Poland”, który – jak szumnie głosi się w jego wstępie – jest odpowiedzią na „przełom, który ma miejsce w światowej gospodarce”.

Stała się bowiem ona „polem twardej geoeconomicznej rywalizacji”, gdzie „bezpieczeństwo, kontrola nad łańcuchami dostaw, suwerenność technologiczna i kapitał narodowy są ważniejsze niż najniższa cena czy krótkoterminowa efektywność”. „Po-

wered by Poland” ma być programem „budowy silnej gospodarki narodowej, w której polskie firmy są właścicielami technologii, integratorami systemów i beneficjentami wartości dodanej” oraz „przejścia od modelu zależnej gospodarki rynkowej do modelu gospodarki suwerennej, zdolnej akumulować kapitał, know-how i własność intelektualną”. Czy to się może udać?

Gospodarczy nacjonalizm

Zacznijmy od pojęć. Autorzy „Powered by Poland” (niewymienieni z nazwisk) próbują odebrać pole naszym narodowcom spod znaku Konfederacji, pisząc, że ich zamiarem jest polityka oparta na „świadomym nacjonalizmie gospodarczym, który dba o to, by polskie firmy stawały się właścicielami aktywów,

a nie tylko ich operatorami”. Nie idzie o to tylko, żeby PKB rosło, lecz także żeby związane z tym przepływy wartości dodanej płynęły w naszą stronę. Co to oznacza? Fory dla polskiego kapitału i selektywne traktowanie kapitału zagranicznego.

Realizacja tej wizji jest oparta na czterech filarach. Morawiecki chce zmobilizować krajowy kapitał oszczędnościowy pod kątem inwestycji. „Polska dysponuje 3,6 bln zł oszczędności prywatnych, a jednocześnie poziom inwestycji pozostaje poniżej średniej UE” – czytamy. Instrumentem tej mobilizacji mają być ulgi, zwłaszcza na przedsięwzięcia o wysokiej wartości dodanej: AI, robotyzację, badania i rozwój. Ale uwaga! Mają to być głównie ulgi zwrotne, czyli zwroty podatkowe zależne od założonych wcześniej celów. Do tego dochodzą gwarancje inwestycyjne w sektorach strategicznych i granty.

Z jednej strony pomysł dowartościowujący kreatywną i otwartą na ryzyko część społeczeństwa jest godny pochwały, ale z drugiej jego natura budzi zastrzeżenia. Oto jednym z fundamentalnych powodów niskiego poziomu inwestycji w Polsce jest niski poziom oszczędności. Co z tego, że w wartościach absolutnych wynoszą one 3,6 bln zł, skoro stopa oszczędności gospodarstw domowych jest u nas niższa o ok. 30 proc. od średniej unijnej? Niższe oszczędności przekładają się na wyższą awersję do ryzyka. Samo więc wprowadzenie ulg na inwestycje nie zmusi posiadaczy oszczędności do przekierowania ich z, dajmy na to, nieruchomości na giełdę. Drugim wyjątkowo często wskazywanym w ankietach powodem niskiego poziomu inwestycji w Polsce jest złożoność prawa i nieprzewidywalność aparatu biurokratycznego. Wprowadzenie nowych ulg problem ten pogłębi. ▷



Drugi filar strategii to „nacionalizacja strumienia zamówień publicznych” poprzez „preferowanie krajowej wartości dodanej”. Wiąże się to z koniecznością wprowadzenia „kryteriów polskości”, co oznaczać ma „oparcie oceny ofert na realnej wartości dodanej generowanej w kraju, w tym na lokalizacji własności intelektualnej (IP), miejscu produkcji oraz zaangażowaniu lokalnych zespołów badawczo-rozwojowych”.

W „Powered by Poland” jesteśmy przekonywani, że inne państwa stosują takie metody. Robi to Turcja, robią to USA („Buy American”)... Tyle że wymienianie Turcji jako pozytywnego przykładu polityki gospodarczej jest, powiedziano młodzieży, samozaooraniem. Kraj ten od lat pogrążony jest w kryzysie, co można mierzyć setkami tysięcy obywateli emigrujących rocznie z powodów ekonomicznych. Z kolei program „Buy American” ilustruje porażkę idei patriotyzmu gospodarczego, bo korzyści (zachowane miejsca pracy) są mniejsze niż koszty (wyższe ceny). W 2017 r. Heritage Foundation oszacowała, że uchylenie wszystkich przepisów „Buy American” stworzyłoby ponad 300 tys. dodatkowych miejsc pracy w sektorze prywatnym i dodało 22 mld dol. do PKB. Z kolei Izba Handlowa USA ustaliła, że 97 proc. zamówień federalnych wartościowo już trafia do firm krajowych, więc wprowadzanie dodatkowych preferencji jest po prostu zbędne.

I tu mam dla autorów nowego planu Morawieckiego niespodziankę: podobnie jest w Turcji, Niemczech, Francji oraz w Polsce. U nas też dodatkowe preferencje są zbędne. Mogą co najwyżej zaszkodzić, ograniczając dopływ zagranicznego know-how, a we współczesnej gospodarce to właśnie wiedza i doświadczenie są najważniejsze. Pewien wyjątek można zrobić w tej materii dla sektora obronnego,

o ile zamówienia zostaną tu faktycznie przekierowane do podmiotów prywatnych, a nie do PGZ. Polscy przedsiębiorcy pokazali, że mogą być ważnymi graczami w tej branży, a że trudno wyobrazić sobie tutaj całkowicie prywatne finansowanie inwestycji, rzeczywiście można być wobec nich bardziej szczerym.

Trzeci element planu to „tania i stabilna energia”. Tu pomysły co do zasady dobre, jak postulowanie reformy systemu handlu emisjami ETS czy rozwój energetyki nuklearnej, mieszają się z centralnym planowaniem, np. z gwarantowanymi cenami energii. Pojawia się też idea pozornie atrakcyjna, ale w rzeczywistości komplikująca rzeczywistość prawno-podatkową: utworzenie Specjalnych Stref Energetycznych. Działające tam firmy „będą mieć dostęp do długoterminowych kontraktów PPA, priorytetowych przyłączeń do sieci, obniżonych opłat dystrybucyjnych, ulg podatkowych oraz preferencyjnej amortyzacji inwestycji...”. Czyli zamiast zrobić z Polski jedną wielką strefę przyjazną inwestycjom, znów to urzędnik będzie decydował, gdzie i jak prowadzić działalność, by zyskać jego przychyłność.

W podsumowaniu dokumentu jesteśmy przekonywani, że celem strategii jest „odejście od roli państwa-administratora na rzecz państwa-animatora innowacji”, ale jej główne elementy nie pozwalają wierzyć w tę obietnicę. I tylko jej czwarty filar ma charakter spójny z tą deklaracją. Chodzi o „przyspieszenie procedur administracyjnych”. Wśród propozycji znajdziemy np. automatyzm decyzyjny oznaczający, że „brak decyzji organu w ściśle określonym czasie będzie oznaczał automatyczne rozstrzygnięcie sprawy zgodnie z wnioskiem strony” albo wprowadzenie maksymalnych terminów rozstrzygnięcia spraw sądowych (pięć miesięcy

w I instancji, dwa miesiące w II instancji) oraz promocję dobrych praktyk, gdy „urząd najszybciej rozpatrujący dany typ sprawy staje się wzorcem terminowym dla innych organów w kraju”. To brzmi pięknie, tylko jak wiarygodne jest, skoro nie udało się takich zmian wprowadzić w ciągu ośmiu lat rządów PiS?

Wierny starym idiomom

Nie wróżę tej strategii sukcesu, bo jest przesiąknięta tymi samymi ideami, co „Strategia na rzecz odpowiedzialnego rozwoju” i inne gospodarcze koncepcje obozu Zjednoczonej Prawicy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że gospodarcza wyobraźnia byłego premiera wciąż krąży wokół tych samych patronów: Justina Yifu Lina i Louisa O. Kelso (opisałem ich w tekście „Idole Morawieckiego” z 2018 r.).

Pierwszy, chiński ekonomista i autor Nowej Ekonomii Strukturalnej (NES), imponował Morawieckiemu dlatego, że dostarczał intelektualnej legi-

tymizacji dla państwa „proaktywnego”, takiego, które nie ogranicza się do pilnowania reguł gry, lecz samo wskazuje branże warte wsparcia, obniża im „koszty transakcyjne”, buduje infrastrukturę, kieruje strumieniem ulg, kredytów i instytucjonalnej opieki tam, gdzie władza dostrzega „ukryte przewagi komparatywne” i marzy o hodowli narodowych czempionów. Skąd wiadomo, że Lin jest dla Morawieckiego kimś więcej niż ciekawostką z Davos? Z własnych deklaracji polityka, z jego fascynacji NES, z wypowiedzi o identyfikowaniu sektorów przyszłości oraz z samej logiki planu rozwojowego, w którym państwo miało nie tyle usuwać bariery dla wszystkich, ile aktywne popychać wybranych.

Drugi idol, amerykański prawnik i ekonomista Louis O. Kelso, jest ważny dlatego, że zaproponował alternatywę wobec klasycznego kapitalizmu: demokratyzację kapitału przez akcjonariat pracowniczy, a więc wizję gospodarki, w której państwo za pomocą ulg i konstrukcji prawnych zachęca właścicieli do uwłaszczania pracowników, by ci nie żyli wyłącznie z pracy, lecz także z własności. O randze Kelso

Matt Ridley:



Czytaj też

Widzimy coraz większą lukę między tym, co mogliśmy osiągnąć w ciągu następnych 50 lat, a tym, co prawdopodobnie osiągniemy. Winna jest temu zła polityka: energetyczna, biurokratyczna, fiskalna. Mamy system, w którym wprowadzamy innowacje w elektronice i oprogramowaniu, ale w dziedzinach związanych z materią – inżynierii, materiałach, energii – przestaliśmy to robić. Boimy się, że nowy samolot nie będzie wystarczająco bezpieczny, a nowy samochód za mało ekologiczny.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Seks idei”, DGP nr 197 z 10 października 2026 r.

Tusk z Morawieckim podają sobie ręce

Morawiecki ma plan, ale Tusk też. Zajęło mu to trochę, ale wreszcie – po trzech latach opartych na kompulsji (powierzchnowa deregulacja, rewanżyzm) rządów, na finiszu formalnego procedowania znajduje się „Strategia Rozwoju Polski do 2035 r.”

Dokument przeszedł konsultacje społeczne i zapewne znajdują się w nim jeszcze jakieś zmiany, ale warto mu się przyjrzeć już teraz, bo fundamentalny kierunek zostanie zachowany. A lektura „Strategii...” zaskakuje.

Okazuje się, że jeśli zignorować różnice retoryczne (próżno w rządowej strategii szukać nacjonalizmu gospodarczego), to w zakresie zagadnień gospodarczych jest zaskakująco zbieżna z projektem Morawieckiego. Głównym przekazem „Strategii...” ma być „poszukiwanie nowej równowagi między konkurencyjnością gospodarki, spójnością społeczną oraz bezpieczeństwem kraju”. Narzędziem do tego ma być państwowy interwencjonizm. Oczywiście, to pojęcie się nie pojawia, pojawia się za to – tak samo jak w „Powered by Poland” – pojęcie „polityki przemysłowej”, która „będzie polegała na świadomym kształtowaniu struktury sektorowej gospodarki z uwzględnieniem potrzeby podnoszenia jej poziomu zaawansowania technologicznego”. W tym kontekście wskazuje się na konieczność silniejszego przekierowania zamówień publicznych w stronę polskich prywatnych firm. „Popyt zgłaszany przez państwo” ma być okazją do wzrostu technologicznego i ekspansji zagranicznej. No i to znów Morawiecki I: I. Rząd ma wspierać w ekspansji „szybko rosnące krajowe podmioty” poprzez mobilizację kapitału prywatnego. A jak chce ją przeprowadzić? Wprowadzając systemy gwarancji kredytowych czy nowe instrumenty fiskalne. To samo dotyczy modernizacji już istniejących przedsiębiorstw.

Czytamy, że „dotychczasowe instrumenty, takie jak ulga na robotyzację, są niewystarczające do zachowania oczekiwanego tempa wzrostu gęstości robotyzacji czy stopnia automatyzacji branż przemysłu”. W „Strategii...” eksponuje się także – jak w „Powered by Poland” – kwestie energetyczne. Wysokie ceny energii są diagnozowane jako jedna z głównych przyczyn spadku polskiej konkurencyjności. Mają być one obniżone dzięki współfinansowanej przez państwo rozbudowie mocy z odnawialnych źródeł energii, inwestycji w elektrownie szczytowo-pompowe czy magazyny energii i ciepła. Jest to ponownie interwencjonizm, choć akcenty są rozłożone inaczej i jego zakres jest inny niż u Morawieckiego – w „Powered by Poland” rola państwa wydaje się jeszcze większa.

W obu dokumentach znajdziemy całe rozdziały poświęcone usprawnianiu państwa i deregulacji z tą różnicą, że w rządowym zmianie te traktuje się szeroko jako reformy jakości usług publicznych, kompetencji państwa, obiegu danych i procesu legislacyjnego, a nie przede wszystkim – jak to jest w „Powered by Poland” – reformy mające na celu szybsze wydawanie zgód dla inwestorów. W rządowym planie nacisk postawio-

ny jest na poprawę instytucji niejako dla nich samych, w planie Morawieckiego chodzi raczej o osiągnięcie konkretnego efektu gospodarczego. Rząd podchodzi do sprawy bardziej menedżersko i ewolucyjnie, a były premier stawia na tempo działań wymuszane sankcjami (jak wspomniana zasada milczącej zgody czy nieprzekraczalne terminy dla urzędów).

Ale czy zestawianie dokumentu rządowego z „Powered by Poland” ma sens? Przecież raport Morawieckiego nie ma charakteru oficjalnego dokumentu programowego PiS, a samego Morawieckiego zabrakło w składzie partyjnej rady programowej, która nad takim dokumentem pracuje. A jednak to Morawiecki ustawił myślenie o gospodarce w obozie PiS – i nie ma powodu oczekiwać, że nowy program PiS będzie się opierał na założeniach odległych od tego, co opublikował były premier.

Koledzy będą najważniejsi

Ideologiczne, etatystyczne porozumienie ponad podziałami dwóch największych bloków politycznych jest niebezpieczne. Z prostej przyczyny: etatyzm, nawet wystrojony w nowoczesną retorykę, wcale nie działa tak dobrze, jak się to reklamuje.

Chiny na przykład, rzekomy czempion polityki przemysłowej, od lat notują spadającą stopę wzrostu PKB – w 2026 r. ma to być zaledwie ok. 4,5 proc. Co zatem z tego, że świadomie kontrolują metale ziem rzadkich albo zalewają Europę tanią stalą, skoro wytwarza się tam coraz mniej nowego masełka do rozsmarowania po masie 1,4 mld ludzi? Spowalniający wzrost PKB notuje także Korea Południowa – inny czempion tej samej kategorii. W tym roku wzrost ma wynieść zaledwie 1,9 proc. PKB. A najlepsze w tym jest to, że pod względem tempa rozwoju Polska, która polityki przemysłowej na podobną skalę nie prowadziła, Koreę zaczyna dystansować. W latach 2015–2025 rośliśmy średnio o 3,5 proc. rocznie, gdy Korea notowała średni wzrost na poziomie 2,4 proc. Co zatem z tego, że mają tam Samsunga? Postawiłbym tezę, że azjatyckie rządy, które po zerwaniu z socjalizmem zachowały przywiązanie do silnej roli państwa w gospodarce, zainstalowały u siebie bombę zegarową. Ich gospodarki rozwijały się dzięki większej dozie wolności, co przez czas jakiś mogło dźwigać etatystyczne obciążenia, ale gdy efekt niskiej bazy się wyczerpał i wzrost się spłaszczył, okazało się, że interwencjonizm i protekcjonizm są raczej kulą u nogi, a nie silnikami rozwoju. Chiny muszą sobie dzisiaj radzić np. z inwestycjami infrastrukturalnymi, które nie przynoszą zwrotów, a jedynie długi; np. w szybkie koleje.

Obroncy ideologii zwiększania państwowego udziału w gospodarce używają często argumentu historycznego, który ma udowodnić coś odwrotnego. Mówią: wszystkie potęgi gospodarcze – w tym USA – zbudowały siłę dzięki interwencji i protekcji, ale nigdy się do tego nie przyznawały. Przeciwnie – promowały przekonanie, że budowa ta odbywa się w warunkach wolności gospodarczej. Po co? Po to, by inni – mniejsi i naiwni – otwierali swoje rynki na ich produk-

ty i kapitał. Słowem: drogą do bogactwa jest państwo, a wolny rynek to bajka dla maluczkich. Ci zaś, którzy to zrozumieją – np. Korea Południowa – byli w stanie dokonać skoku z rolniczego skansu ku przemysłowej potęgze.

Brzmi ładnie i spójnie, ale problem z tą argumentacją jest taki, że jest nieprawdziwa. Owszem, to fakt, że USA w XIX w. prowadziły agresywne polityki celne, ale – jak zauważa w swoich pracach historyk gospodarki Douglas A. Irwin – przypisywanie im zasług dla amerykańskiego wzrostu to myślenie współwystępowania z przyczynowością. Irwin tłumaczy, że cła przesuwały zasoby z jednych sektorów do innych, np. z rolnictwa do przemysłu, ale kluczowe dla rozwoju USA były wielkość rynku wewnętrznego, stabilne instytucje, ochrona praw własności oraz szybki wzrost produktywności w usługach i innych sektorach niehandlowych. Żeby przypisać to zjawisko cłom, trzeba by skonstruować odpowiedni model i wykorzystać bardzo obszerne dane empiryczne. Zdaje się jednak, że nikt ze zwolenników interwencjonizmu i protekcjonizmu takiej ambitnej próby dotąd nie podjął – i dlatego ich książki są tylko zbiorem interesujących anegdot. Stąd zresztą być może bierze się ich popularność: wolimy barwne i łatwe historie od wymagających intelektualnie analiz.

Dotyczy to także przekonania, że bogactwo kapitalistycznych mocarstw wzięło się z wyzysku ich kolonii. Obala je choćby prof. Deirdre McCloskey w kontekście Imperium Brytyjskiego i tezy, że bez eksploatacji Indii Anglia nie stałaby się potęgą. McCloskey pisze, że choć w handlu z Indiami był element wyzysku, to jego znaczenie dla wzrostu Wysp było małe: słynny drenaż Indii miał skalę ok. 1 proc. dochodu Wielkiej Brytanii – zdecydowanie zbyt małą, by wyjaśnić narodziny brytyjskiej potęgi. I, owszem, etatystyczne rozwiązania nawiązujące do praktyk wielkich imperiów mogą przynieść korzyści niektórym (najlepiej skolięganym z rządem) firmom, ale obywatelom już niekoniecznie.

Mimo według mnie negatywnych konsekwencji realizacji strategii „Powered by Poland”, nie mogę nie oddać Mateuszowi Morawieckiemu jednego: z własnej inicjatywy i z wyprzedzeniem podjął wysiłek intelektualny systemowego myślenia o przyszłości Polski. To cenne. Dodatkowo myślenie to wyłożył klarownie i spójnie. Można więc toczyć z nim merytoryczną polemikę. Tak, Morawiecki wygląda jak ktoś, kto ma plan, tyle tylko, że akurat nie ten, którego naprawdę Polsce potrzeba. Z kolei Tusk wygląda na kogoś, kto długo planu mieć nie chciał, a gdy już się go dorobił, okazało się, że zaprezentował coś równie niebezpiecznego jak Mateusz Morawiecki. Pora, by pojawił się w końcu ktoś z dobrym planem. Obawiam się jednak, że to czekanie na Godota. ©©

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Polska musi się stać niezbędną

Piotr **Wójcik**

Do niedawna wycofanie się Stanów Zjednoczonych z NATO wydało się całkiem nieprawdopodobne. Jednak groźby Donalda Trumpa spowodowały, że scenariusz ten stał się przedmiotem poważnych analiz. Opracowując polską strategię bezpieczeństwa narodowego, politycy zapomnieli, że oparcie się na jednym sojuszniku jest bardzo ryzykowne, a wyrzutnie rakiet, myśliwce i czołgi nie stanowią jedynej metody odstraszania. Alternatywą jest oplecenie się gęstą siecią sojuszy i powiązań międzynarodowych w taki sposób, by atak na Polskę oznaczał uderzenie w interesy wielu silnych i zamożnych państw. Można to osiągnąć nie tylko przez zacieśnianie partnerstw wojskowych (np. z Japonią), lecz także przez budowę strategicznej pozycji w globalnym łańcuchu wartości. Dobrze pokazuje to przykład Tajwanu, który pozostaje względnie bezpieczny m.in. dzięki swojej kluczowej roli na rynku półprzewodników.

Ziemie nieodkryte

Polska awansowała w globalnym łańcuchu produkcji wraz z geopolitycznym zwrotem na Zachód. W latach 90. odczepiła się od postsowieckich rynków zbytu, znajdując nowych kontrahentów w Europie i na świecie. Zmiany zachodziły bardzo szybko. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Transformacja polskiego eksportu” w 1996 r. Rosja odpowiadała za 6,7 proc. naszej sprzedaży zagranicznej (drugie miejsce wśród odbiorców). W 2019 r. jej udział w polskim eksporcie spadł do 3,1 proc. (siódme miejsce). Największym odbiorcą pozostały Niemcy (27,5 proc.), na drugie miejsce wskoczyli Czesi (6,2 proc.), a na trzecie Brytyjczycy (6 proc.). Za nimi uplasowały się Francja, Włochy i Holandia.

Drogę do tych zmian utorowała akcesja do Unii Europejskiej, która zapewniła rodzimym firmom dostęp do wspólnego rynku. Kolejny przełom nastąpił po obłożeniu Rosji sankcjami za inwazję na Ukrainę w 2022 r. Według danych Trading Economics w 2024 r. kraj agresora odpowiadał za niespełna 0,8 proc. polskiego eksportu, a wspierająca go Białoruś – za 0,6 proc.

Równocześnie Polska zaczęła się uzależniać od swoich głównych partnerów – szczególnie od Niemiec. W 2024 r. na tamtejszy rynek trafiło 27 proc. naszego eksportu. Na kolejne na liście rynki – Czechy i Francję – przypadło po 6,1 proc. Za nimi uplasowały się USA z udziałem wynoszącym prawie 6 proc. Silna zależność od Niemiec jest często spotykana w naszym regionie. Czesi kierują tam aż 32 proc. swojej sprzedaży zagranicznej, a Węgrzy 25 proc. Chiny zajmują marginalną pozycję, odpowiadając za około jedną setną eksportu w tych trzech krajach.

Europa Środkowa ma też słabe powiązania z Japonią, która dla lokalnych eksporterów w dużej mierze pozostaje nieodkrytym rynkiem. Relatywnie najlepiej radzą sobie Czesi, którzy sprzedają tam towary warte ponad 1,1 mld dol., co stanowi 0,4 proc. ich eksportu. Obroty polskich firm na japońskim rynku sięgają ponad 900 mln dol., co przekłada się na 0,25 proc. naszego eksportu.

Zacieśnienie relacji gospodarczych z Tokio mogłoby się przyczynić do zbliżenia politycznego. Zwłaszcza że mamy ze sobą wiele wspólnego: podobnie jak Polska Japonia obawia się wycofania Amerykanów, a Rosja jest jednym z jej kluczowych rywali (formalnie oba kraje są nadal w stanie wojny). Ma przy tym rozwiniętą cywilną technologię jądrową, którą w razie potrzeby może szybko przekształcić w wojskową.

Nastawieni na eksport

Zwrot na Zachód szedł w parze z umiędzynarodowieniem polskich towarów. Jak podaje w artykule „Poland in International Supply Chains in 1995–2020” Magdalena Kapela, w 1995 r. zagraniczna wartość dodana, czyli „niepolski wkład” w eksportowane przez nas towary, stanowiła ok. 15 proc. W 2005 r. było to już 25 proc., a w 2020 r. – prawie 30 proc. Zmiana ta wynikała w dużej mierze z rozwoju zdolności produkcyjnych i postępu technologicznego. Zagraniczni inwestorzy kupowali nad Wisłą istniejące zakłady lub budowali nowe, wciągając Polskę w globalne łańcuchy dostaw. W ciągu ćwierćwiecza staliśmy się gospodarką nastawioną na eksport. W 1995 r. 39,5 proc. osób zatrudnionych w rodzimym przemyśle pracowało przy wytwarzaniu dóbr trafiających na zagraniczne rynki; w 2020 r. było to już niemal 60 proc. W przypadku pracowników usług biznesowych wzrost był prawie dwukrotny – z 23 proc. do 45 proc. Największy skok zanotowało rolnictwo. W 1995 r. 12,5 proc. rolników pracowało na eksport, w 2020 r. – 32,5 proc.

Według Trading Economics w 2024 r. produkcja maszyn, elektronika i komponenty do niej oraz szeroko rozumiana produkcja pojazdów łącznie odpowiadają za ponad jedną trzecią sprzedaży zagranicznej. Na kolejne dwie branże – plastyki oraz meble, oświetlenie i materiały budowlane – przypada po niespełna

5 proc. Według danych przytoczonych przez Magdalenę Kapelę w produkcji pojazdów aż 78 proc. zatrudnionych ma pracę dzięki eksportowi, w produkcji maszyn – 76 proc., a w elektronice – 75 proc.

Otwarcie się Polski na globalną gospodarkę było w dużej mierze podyktowane względami geopolitycznymi. Politycy niewiele wiedzieli o łańcuchach dostaw – interesowała ich przede wszystkim szybka integracja ze strukturami Zachodu (UE, OECD, NATO). Nad Wisłę napłynęły bezpośrednie inwestycje zagraniczne (BIZ), a rodzima gospodarka przestawiała się na eksport. Jednocześnie notowaliśmy wzrost importu, który napędzali nie tylko bogacący się konsumenci, lecz także nowo powstające zakłady. W efekcie na początku drugiej dekady XXI w. notowaliśmy negatywny bilans handlowy. Zaczęło się to zmieniać ok. 2015 r. Od tamtej pory dodatni bilans handlowy Polski był okresowo przeplatany deficytami. W 2024 r. wartość naszego eksportu sięgnęła 380 mld dol., a import 379,5 mld dol. Nieprzypadkowo po obu stronach bilansu dominowały trzy branże: maszyny, elektronika i motoryzacja. Jedyną różnicą jest to, że w zakupach za granicą ważną pozycję zajmują paliwa i produkty rafinowane.

Więcej i lepiej

„W 2023 r. Polska była 22. największym eksporterem na świecie. W porównaniu do 2001 r. nasz kraj awansował w rankingu największych eksporterów o dziesięć miejsc. Pod względem wielkości eksportu wyprzedziliśmy m. in. tak duże gospodarki jak Brazylia, Arabia Saudyjska czy Turcja. Z kolei w imporcie byliśmy 20. największym odbiorcą towarów na świecie. Od 2001 r. awansowaliśmy o sześć miejsc w rankingu światowych importerów” – czytamy w raporcie Polskiego Funduszu Rozwoju (PFR) z sierpnia 2024 r. W latach 2001–2023 nasz kraj zwiększył udział w globalnym eksporcie z 0,58 proc. do 1,52 proc., a w imporcie z 0,79 proc. do 1,45 proc.

Co więcej, na przestrzeni dekad towary o niskiej wartości dodanej zastępowała bardziej zaawansowana produkcja. Według raportu PIE w 1996 r. włókiennictwo i odzież odpowiadały za 12 proc. eksportu, a w 2019 r. za 4 proc. Udział produkcji maszyn wraz z elektroniką zwiększył się z 13 do 28 proc. Sprzedaż produktów roślinnych spadła z 3 proc. do 2 proc., wzrosła za to sprzedaż gotowych artykułów spożywczych – z 5 proc. do 7 proc. Można by długo wymieniać. Nie ma wątpliwości, że w XXI w. polska produkcja przeszła głęboką modernizację. Jak wynika z danych PIE, w 1996 r. produkty średniej i niskiej techniki oraz towary nieprzetworzone odpowiadały za prawie 85 proc. naszego eksportu, a w 2019 r. za nieco ponad połowę – resztę stanowiły dobra średniowysokiej i wysokiej techniki. To ogromny skok cywilizacyjny, ale często niedoceniany, bo debatę publiczną rozpalają problemy sektorów, które relatywnie mniej skorzystały na przemianach – szczególnie rolników.

Duży wpływ na awans Polski w globalnych łańcuchach wartości miało strategiczne położenie, które umożliwia nam odgrywanie roli łącznika między Północą i Południem oraz Zachodem i Wschodem. Było to silnym impulsem do rozwoju transportu i logistyki. Według Eurostatu w 2024 r. wkład branży przewozowej i magazynowej do polskiego PKB wyniósł 7 proc. (średnia unijna to 4,9 proc.) – większy notują tylko Litwa (10,4 proc.) i Rumunia (7,7 proc.). Polska odpowiada za prawie 30 proc. międzynarodowych przewozów drogowych w UE (pod względem tonażu na kilometr). Oprócz niedowartościowanego złotego, który obniża koszty inwestycji, lokalizacja jest jedną z naszych głównych przewag konkurencyjnych.

Niszowe hity

Według prognozy Międzynarodowego Funduszu Walutowego w tym roku nasza gospodarka zajmie 20. miejsce na świecie pod względem nominalnego PKB i 19. po uwzględnieniu parytetu siły nabywczej. Jednak z każdym kolejnym rokiem będzie trudniej o awans, bo motory rozwoju będą się wyczerpywać. W następnych dekadach złoty nie będzie już tak niedowartościowany. Tym bardziej że polskie rezerwy puchną: zasoby złota przekroczyły już 550 t, a Narodowy Bank Polski ogłosił, że nowym celem jest 700 t. Dolar staniał z ok. 4,15 zł na początku 2025 r. do 3,60 zł w grudniu. W tym roku dolar znów zaczął nieco drożeć, ale jest to efekt kolejnych zawirowań międzynarodowych. W takich czasach dolar, jako główna waluta rezerwowa świata, zawsze się umacnia. Gdyby wziąć pod uwagę tylko czysto ekonomiczne czynniki, złoty powinien wyraźnie piąć się w górę. W tym scenariuszu będziemy powoli tracić to, co zagraniczni inwestorzy uważają za nasz główny atut.

A to dopiero początek listy barier rozwojowych. Kolejnym jest niski stopień zaawansowania technologicznego towarów, w których Polska ma przewagę kon-

kurencyjne, czyli Revealed Comparative Advantage (RCA). Wskaźnik ten pokazuje, w jakim stopniu dany kraj specjalizuje się w eksporcie produktu w porównaniu ze średnim udziałem tego towaru w eksporcie światowym. Jeśli wartość RCA przekracza jeden, oznacza to, że kraj jest wyróżniającym się producentem i eksporterem. Według raportu PFR Polska notuje przewagę komparatywne w większości mało zaawansowanej produkcji. Największy wynik – 6,8 – dotyczy tytoniu i jego pochodnych. Dalej są broń i amunicja (4,0), co zapewne wynika z rozwiniętej produkcji prochu strzelniczego i trotylu oraz mniejszego uzbrojenia (karabiny czy ręczne wyrzutnie rakiet). Kolejne pozycje to znów produkcja niskiej techniki. Mowa o przemyśle poligraficznym, przetworach mięsnych (i samym mięsie), drobiu i przetworach rybnych, zbożach, mące i pieczywie oraz produktach z kakao. We wszystkich tych przypadkach wskaźnik RCA wyniósł 3 lub więcej. Wynik ponad 2,5 dotyczy lokomotyw i taboru szynowego oraz mebli, czyli bardziej zaawansowanej produkcji.

Zaawansowane technologicznie hity eksportowe Polski to przede wszystkim dosyć niszowe produkty. Najmocniejszą pozycję produkcyjną notujemy w wytwarzaniu bramownic drogowych i wozów okraczających podsiębiernych – nasz udział w globalnej sprzedaży tych dóbr wynosi aż 42,5 proc. Na drugim miejscu znalazły się aparaty słuchowe. Okazuje się, że Polska odpowiada za ponad jedną piątą światowego eksportu tego sprzętu. Na dwóch kolejnych miejscach są produkty AGD: zmywarki do naczyń (19 proc.) i pralki (16 proc.). Na piątym uplasowały się leki zawierające hormony (12,4 proc.), a za nimi wagony osobowe, transportowe i tramwajowe (niespełna 10 proc.). Każda z tych kategorii jest na tyle niszowa, że nie waży zbyt wiele w naszej sprzedaży zagranicznej jako całości. Przykładowo sprzedaż bramownic i wozów okraczających to zaledwie 0,06 proc. polskiego eksportu.

Pokonać słabości

Ogólnie rzecz biorąc, zależność Europy od dostaw materiałów i komponentów z zagranicy nie jest duża. Raport PIE „Dekada bezpieczeństwa ekonomicznego” z 2022 r. podkreśla, że dwie trzecie zużycia materiałowego w UE to dostawy wewnątrz krajowe. W niektórych obszarach poziom zależności jest jednak dużo wyższy. „Z perspektywy sektorowej największe zależności widoczne są w przetwórstwie surowców energetycznych w UE (koks i produkty rafinacji ropy naftowej), spoza OECD sprowadzanych jest 50 proc. tych produktów” – czytamy w publikacji. Jej autorzy wymieniają 345 produktów, w których Unia jest silnie uzależniona od dostaw spoza wspólnego rynku. To przede wszystkim surowce energetyczne (szczególnie gaz ziemny), światłoczułe urządzenia półprzewodnikowe (m.in. panele fotowoltaiczne) i części silników turbodrzutowych i turbosmigłowych. Silna zależność charakteryzuje również produkcję specyficznych towarów rolno-spożywczych i tekstylnych (niektóre gatunki ryb, przypraw czy tkanin, takich jak kaszmir). Na liście wyróżniono 106 produktów krytycznych, które odpowiadały za 4,3 proc. importu do UE. Są wśród nich m.in. aktywne substancje farmaceutyczne, rękawice chirurgiczne i komponenty do sprzętu RTV. W zestawieniu znajdują się również surowce krytyczne, takie jak metale ziem rzadkich. Mowa np. o litie, który jest niezbędny do produkcji baterii litowo-jonowych. Według danych PIE Polska odpowiada za 2,5 proc. globalnego eksportu tych baterii. Inne ważne surowce to m.in. nikiel, magnez, lantanowce, itr i skand.

Za surowiec krytyczny uznawana jest także miedź, której Polska jest głównym dostawcą: KGHM odpowiada za połowę unijnej produkcji tego metalu. Ogólnie rzecz biorąc, na tle innych państw UE nasz kraj nie jest silnie uzależniony od zagranicznych dostaw. Około 40 proc. energii pierwotnej jest u nas wytwarzana z importowanych surowców. Średnia unijna to prawie 60 proc. Problem w tym, że krajowe surowce to przede wszystkim węgiel, który w 2025 r. – według danych Forum Energii – odpowiadał za 53 proc. wytworzonego prądu. Unia prowadzi politykę dekarbonizacji, a zatem jeśli nie będziemy inwestować w moce z OZE (zwłaszcza w farmy wiatrowe), nasza zależność od dostaw surowców lub prądu z zagranicy będzie się pogłębiać.

Słabe punkty Polski w globalnym łańcuchu wartości można łatwo zidentyfikować. Nasza gospodarka jest mocno uzależniona od kontrahentów z Europy Zachodniej, szczególnie z Niemiec. Oczywiście działa to w dwie strony – niemieckie przedsiębiorstwa sprowadzają z nas komponenty i gotowe produkty, a także lokują u nas fabryki. Polska powinna jednak odważnie wejść w globalny handel, szczególnie z Japonią, Koreą Południową i państwami Azji Południowo-Wschodniej z grupy ASEAN (m.in. Malezja, Tajlandia, Filipiny, Indonezja i Wietnam). Rząd ma narzędzia, by pomóc rodzimym firmom w ekspansji i nawiązywaniu współpracy z tamtejszymi przedsiębiorstwami. Może to robić zarówno drogą dyplomatyczną, jak i za pośrednictwem PFR czy Ministerstwa Rozwoju i Technologii.

Nasza kolejna słabość to niszowy charakter hitów eksportowych. Rząd powinien przyciągać inwestycje związane z zaawansowanymi technologiami, nawet jeśli będzie to wymagać hojnych ulg podatkowych czy budowy nowej infrastruktury za publiczne pieniądze. Mowa o rozwoju istniejącego już potencjału produkcji baterii litowo-jonowych, rozbudowie ekosystemu dla przemysłu półprzewodnikowego, który nad Wisłą wciąż raczkuje, czy stworzeniu warunków do lokowania nad Wisłą wielkich centrów danych. To ostatnie ujawnia kolejną słabość Polski – niezmodernizowany system energetyczny. Centra danych pochłaniają bowiem ogromne ilości prądu. Na rozwoju nie warto oszczędzać. Im większe znaczenie polskiej gospodarki dla najsilniejszych państw, tym trudniejsza będzie decyzja o zaatakowaniu naszego kraju. ©



Informujemy rzetelnie
Doradzamy profesjonalnie

Nowy serwis **dgp.pl** to więcej korzyści dla Ciebie



+ więcej treści:

- rozmowy wideo z ekspertami
- raporty specjalne i pogłębione analizy
- przydatne w pracy kalkulatory
- biblioteka e-poradników i wydań archiwalnych

+ na bieżąco:

- o zmianach w prawie natychmiast po ich ogłoszeniu
- newslettery i alerty dot. kluczowych przepisów
- zaawansowana wyszukiwarka merytoryczna

CZYTAJ WIĘCEJ: **dgp.pl**

Świat

Premier Viktor Orbán
i wiceprezydent USA J.D. Vance.
Budapeszt, 7 kwietnia 2026 r.



FOT. ZOLTAN FISCHER/HANDOUT/MTI/EPA/PAP

Węgry przed wyborczą niewiadomą

Czy głęboko spolaryzowane węgierskie społeczeństwo zaakceptuje oficjalny wynik niedzielnego głosowania? I czy ewentualna zmiana układu sił realnie wpłynie na strategiczny kierunek polityki Budapesztu?

Dominik

Héjj

Wybory na Węgrzech powinny się odbyć już w tę niedzielę. „Powinny”, bo wciąż nie można wykluczyć, że rząd sięgnie po opcję atomową i wprowadzi stan wyjątkowy. Lider partii TISZA, Péter Magyar, prowadzi w niezależnych sondażach z bezpieczną przewagą. Pytany o nadchodzące głosowanie, przyznaje, że „wszystko może się wydarzyć”. Zaraz jednak dodaje, że Węgrzy już niebawem zdecydują o zmianie systemu.

Stawka jest niezwykle wysoka. Niedzielne głosowanie stało się wielkim referendum nad 16 latami rządów Fideszu. Sondaże jasno pokazują, że silna wiara w sukces władzy ogranicza się niemal wyłącznie do jej twardego elektoratu. Pozostali, w tym kluczowa grupa wyborców niezdecydowanych, znacznie częściej wrogą zwycięstwo TISZY. Nie wiadomo jednak, ilu z nich ostatecznie pójdzie do urn. W obozach dwóch największych partii deklarowana frekwencja przekracza 90 proc. Dla porównania: dotychczas rekordowe były wybory z 2002 r.,

gdy zagłosowało nieco ponad 70 proc. uprawnionych.

Fidesz bez szans?

„Stawką nie jest jednak zwycięstwo koalicji Fidesz-KDNP. Orbána interesuje uzyskanie większości konstytucyjnej, czyli 133 spośród 199 mandatów” – pisałem na łamach DGP w przededniu głosowania w 2018 r. Wyborom w 2022 r. towarzyszyła podobna narracja. Fidesz odniósł wówczas największe zwycięstwo w historii, zdobywając 135 miejsc

w parlamencie. Dziś sytuacja jest diametralnie inna. W niedzielę do urn może pójść ponad 8,1 mln osób. Prawie pół miliona ma prawo zagłosować korespondencyjnie. To przede wszystkim członkowie diaspory z historycznych terenów Węgier (w granicach sprzed traktatu z Trianon z 1920 r.).

Jakie są wyborcze prognozy? Przywoływanie pojedynczych sondaży bywa mylące. Rząd ufa swoim ośrodkom badawczym, a opozycja swoim. Praktyka pokazuje jednak, że to niezależne pracownie trafniej opisują rzeczywistość. Według opublikowanej w środę (8 kwietnia) średniej z pięciu badań pracowni Medián opozycyjna TISZA pewnie wygrywa i zdobywa większość konstytucyjną. Co więcej, jej przewaga byłaby największą w historii węgierskiego parlamentaryzmu. Przełożyłoby się to na 141 mandatów. Obecna koalicja Fidesz-KDNP musiałaby się zadowolić 52 miejscami, a skrajnie prawicowa Mi Hazánk – pięcioma lub sześcioma. Ostatni, 199. mandat mógłby na mocy odrębnych przepisów przypaść mniejszości romskiej.

Sprawdzenie się tych kalkulacji oznaczałoby absolutną dominację TISZY. Partia Pétera Magyara dostalaby zielone światło do kształtowania państwa według własnych reguł, włącznie z uchwaleniem nowej konstytucji. Po raz pierwszy od 2010 r. realny staje się scenariusz, w którym rządząca od 16 lat prawica nie tylko traci więk-

WĘGRY

szość konstytucyjną, ale po prostu od-
daje władzę.

Nowy pomysł na opozycję

Co takiego wydarzyło się na Węgrzech, że doszło do tak potężnej zmiany? Realne poparcie dla Fideszu na przestrzeni lat wcale drastycznie nie spadło. Zmieniła się jednak architektura sceny politycznej. Po raz pierwszy od 2010 r. w rywalizacji liczą się w zasadzie tylko trzy, a tak naprawdę dwie partie. TISZA i Fidesz skumulują prawdopodobnie aż 90 proc. wszystkich oddanych głosów. To kluczowa różnica. W 106 okręgach jednomandatowych głosy przeciwników władzy nie ulegają już rozbiciu na drobne ugrupowania. Warto przypomnieć sytuację z 2018 r. Fidesz nie uzyskałby wówczas większości konstytucyjnej, gdyby opozycja po prostu doszła do porozumienia w zaledwie sześciu okręgach w Budapeszcie (gdzie jej kandydaci zajmowali drugie i trzecie miejsce).

Wiara w projekt jednej, zjednoczonej listy opozycji ostatecznie upadła po klęsce w 2022 r. Budowanie prostych analogii byłoby tu jednak niesprawiedliwe. Cztery lata temu wybory odbywały się zaledwie sześć tygodni po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie, a realia kampanii miały niewiele wspólnego z klasyczną polityczną rywalizacją. Wniosek był natomiast jeden: w bezpośrednim starciu z Fideszem szanse ma tylko pojedyncza, silna partia, a nie zlepek koalicjantów. Partia TISZA zdołała dotrzeć do biernych dotąd obywateli i przejąć elektorat dawnej opozycji. Kluczową okazała się wiara, że Péter Magyar – jako były działacz Fideszu – stworzył wokół siebie aurę tego, który po prostu wie, jak wygrać z partią, z której się wywodzi. Ta narracja okazała się bardzo inspirująca.

Szybko zadziałał efekt kuli śnieżnej. Ludzie zobaczyli, że przeciwników władzy jest coraz więcej. Magyar nie zwalniał tempa, jeździł od miejscowości do miejscowości – Węgry opłynął także kajakiem. Odwiedzał kolejne miasta. Według statystyk od początku 2024 r. do startu obecnej kampanii zorganizował około 600 spotkań. Do niektórych miejscowości wracał nawet po kilka razy. W historii opozycji podobnego działania nikt wcześniej nie podjął.

Fidesz straszy, TISZA jednoczy

Oswajanie bastionów historycznie sprzyjających Fideszowi odbywało się bez terapii szokowej. Chociaż rządowa propaganda nazywała Magyara zdrajcą, on sam podczas spotkań pokazywał, że nie ma z tym wizerunkiem nic wspólnego. Co więcej, komunikował się z lokalnymi społecznościami ich własnym językiem. Przekonywał ich, że wcale nie porzucił dawnych ideałów prawicy. Taki przekaz wybrzmiał wyraźnie w nagranej na początku lutego 2026 r. odezwie do wyborców władzy. Magyar zagwarantował w niej utrzymanie kluczowych zdobyczy socjalnych Fide-

szu (w tym 13 emerytury). Obiecał też rozwiązania budujące poczucie bezpieczeństwa. Zapewnił podwyżki w budżetówce, jednoczesną obniżkę podatku VAT oraz stworzenie sprawiedliwego systemu podatku dochodowego.

TISZA od początku stawiała na język koncyliacji i budowanie wspólnoty. Aspiracją Magyara nigdy nie było masowe przejmowanie twardego elektoratu Orbána. Taki scenariusz byłby po prostu nierealny. Lider opozycji zdominował za to sieć. Dyskutowano o jego słowach, młodzi ludzie mogli pokazywać rodzinom, że między oficjalnym państwowym przekazem a tym, co jest w rzeczywistości – nie ma wspólnych mianowników. Odolnej akcji zbiórki wiatraków dla szpitali towarzyszyło zbieranie zdjęć z placówek medycznych. Obraz, jaki się z nich wyłaniał, nie korespondował z oficjalnym przekazem, zgodnie z którym w służbie zdrowia wszystko działało idealnie.

Taka praca u podstaw przyniosła efekty. Magyar zagospodarował dawnych wyborców opozycji i zyskiwał poparcie wśród niezdecydowanych. Mówił o tym, co Węgrzy uważają za najważniejsze – o gospodarce i domowych budżetach. Skupiał się na sprawach krajowych. Jak ognia unikał ryzykownych deklaracji w sprawach europejskich czy ukraińskich. Dopiero pod koniec kampanii jasno oświadczył, że Budapeszt musi twardo osadzić się na Zachodzie i zerwać z Rosją. W błyskawiczną rewolucję w relacjach z Moskwą trudno jednak uwierzyć, zważywszy na potężne uzależnienie kraju od rosyjskich surowców.

Fidesz przyjął zupełnie inną strategię. Poszedł w opowieść międzynarodową. Straszyl wymyśloną przez UE wojną z Rosją. Ostrzegał przed zbrojnym atakiem ze strony Kijowa. Budował mit pokojowych Amerykanów. Viktor Orbán kreował się na jedyne gwaranta, który uchroni naród przed katastrofą. Kwesie wewnętrzne zeszyły na dalszy plan. Twarde dane gospodarcze i tak nie sprzyjały władzy, więc skierowanie debaty na tory międzynarodowe miało odwrócić od nich uwagę.

Chodziło o powtórkę scenariusza z 2022 r. W tej gładkiej opowieści nie zagrał jednak jeden element – wybuch wojny w Zatoce Perskiej. Uderzenie na Iran przeprowadzili przecież dwaj najbliżsi sojusznicy węgierskiego premiera: szef rządu Izraela oraz amerykański „orędownik pokoju”, prezydent Donald Trump.

Wyborcza matematyka

Czy sondażowa przewaga partii TISZA faktycznie przełoży się na większość w Zgromadzeniu Krajowym? W tym tygodniu opublikowano badanie pracowni Medián. Jasno z niego wynika, że większość Węgrów zupełnie nie rozumie stopnia skomplikowania ordynacji. Nad Dunajem najwyższe poparcie nie gwarantuje automatycznie istotnej przewagi w parlamencie. Warto to podkreślić.

Architektura węgierskiego prawa wyborczego opiera się na specyficznym mechanizmie rekompensat. To on decyduje o ostatecznym podziale 93 mandatów z list krajowych. Ordynacja zakłada „pompowanie” partyjnych kont na dwa sposoby. Z jednej strony

ugrupowanie przejmuje wszystkie głosy oddane na swoich pokonanych kandydatów w 106 okręgach jednomandatowych. Z drugiej – polityk, który triumfuje w danym miejscu, „oddaje” własną nadwyżkę. Mowa o puli głosów przewyższającej wynik niezbędny do pokonania najgroźniejszego rywala.

Taka legislacyjna konstrukcja to w praktyce bezpiecznik uszyty idealnie pod polityczne potrzeby Fideszu. W bastionach obozu władzy system generuje dla partii Orbána istotny bonus za zwycięstwo. Z kolei na terenach sprzyjających opozycji, kandydaci rządowi przezważnie i tak gromadzą solidne poparcie. Ich porażka paradoksalnie zasiła krajową listę Fideszu potężnym zastrzykiem „głosów straconych”. Taka pula nierzadko przewyższa objętościowo premię, jaką za zwycięstwo w tym samym okręgu inkasuje opozycja. To wszystko prowadzi do jednego wniosku. Przekładanie sondaży jeden do jednego na ostateczny wynik wyborczy jest dziś myśleniem życzeniowym, a nie trafną prognozą. Prawdziwą matematykę poznamy dopiero kilkadziesiąt godzin po zamknięciu lokali.

Kluczowe pozostaje jednak zupełnie inne pytanie. Czy tak głęboko spolaryzowane społeczeństwo w ogóle uzna ostateczny wynik niedzielnego głosowania? Na Węgrzech brakuje tradycji masowych wystąpień ulicznych. Ostatnie duże protesty z 2018 r. organizowano z uwagi na kodeks pracy. Nie miały one podłoża stricte politycznego. Dziś oba zantagonizowane obozy są pewne swojego triumfu. Jednocześnie po obu stronach barykady panuje ogromna nieufność.

Znaczna część obywateli z góry zakłada wariant oszustwa. Według badań pracowni Medián prawie połowa Węgrów (49 proc.) uważa, że Fidesz może utrzymać władzę tylko dzięki fałszerstwom. Przeciwnego zdania jest 36 proc. ankietowanych. Oceny te są wręcz nierozzerwalnie powiązane z sympatiami partyjnymi. W elektoracie TISZY aż 9 na 10 wyborców nie wierzy w czyste zwycięstwo obozu Orbána.

Podjeżenia kierowane w drugą stronę są statystycznie znacznie słabsze. W skali całego kraju aż 70 proc. badanych całkowicie wyklucza manipulacje ze strony opozycji. Zupełnie inaczej patrzy na to jednak twarde elektorat władzy. W tej grupie 54 proc. ankietowanych otwarcie dopuszcza możliwość wyborczych fałszerstw na korzyść ugrupowania Pétera Magyara.

Co przyniosą wybory?

Czy Węgrzy głosują za kontynuacją, czy za zmianą? Ewentualna wygrana Fideszu – najpewniej już bez większości konstytucyjnej – będzie oznaczać w dużej mierze stagnację i kontynuację dotychczasowego kursu. Wymusi to jednak ułożenie na nowo relacji z UE. Scenariusza „huxitu” nikt realnie nie rozważa. Fidesz z pewnością zaangażuje się za to w procesy wyborcze w krajach sąsiednich, próbując

Fidesz zostawia wiele instytucjonalnych bezpieczników. Dla nowej władzy będą one torem przeszkód

stworzyć wielką konserwatywną rodzinę polityczną. Idealnym zwieńczeniem tego planu byłoby wzmocnienie pozycji jego frakcji Patrioci dla Europy w Parlamencie Europejskim.

A co w przypadku wygranej partii TISZA? Sukces bez większości konstytucyjnej rodzi mnóstwo problemów. Blokują to nowelizację kluczowych aktów prawnych. Mowa o ustawach kardynalnych, do których zmiany potrzeba 133 głosów. Dotyczy to także samej konstytucji. Péter Magyar obiecuje, że znajdzie na to sposób. Od razu jednak przestrzega, że proces naprawy państwa potrwa o wiele dłużej.

Fidesz zostawia wiele instytucjonalnych bezpieczników. Dla nowej władzy będą one swoistym torem przeszkód. Największym wybojem może się okazać Rada Budżetowa. To konstytucyjne, trzyosobowe ciało, które musi wyrazić akceptację dla projektu ustawy budżetowej. W razie braku zgody i nieuchwalenia budżetu do 31 marca prezydent zyska prawo do rozpisania nowych wyborów.

A co w przypadku wygranej opozycji większością konstytucyjną? Paradoksalnie oznaczałoby to ogromną niewiadomą. O samych propozycjach ustrojowych TISZY wiemy wciąż bardzo niewiele. Ostatnio dużo mówi się o utworzeniu urzędu do tropienia rozkradzionego majątku narodowego. Péter Magyar zapowiedział w jednym z wywiadów, że przy większości dwóch trzecich rozliczenia pójdą o wiele sprawniej. Do współpracy chciałby zaprosić m.in. kontrolerów skarbowych i prokuratorów. Pewne jest jedno: Magyar chce wpisać do konstytucji limit kadencji dla szefa rządu. Premierem można byłoby być maksymalnie dwukrotnie.

Kwestią otwartą pozostaje ewentualna reorganizacja systemu sądownictwa poprzez nowelizację konstytucji. Warto pamiętać, jak robił to Fidesz. Władza prowadziła kadrowe czystki m.in. przez zmianę nazw instytucji. Pozwalało to na wygaszanie mandatów, wbrew ich wieloletnim kadencjom.

To bez wątpienia najciekawsze wybory na Węgrzech od 2010 r. Wtedy jednak było jasne, że wygra Fidesz, a pytanie dotyczyło jedynie skali tego sukcesu. Dzisiaj europejski mainstream chciałby zadać podobne pytanie i usłyszeć natychmiastowe potwierdzenie, że triumfuje TISZA. Nie jest w końcu przypadkiem, że głównym hasłem kampanii opozycji stała się słynna, XIX-wieczna strofa „Pieśni narodowej” pióra Sándora Petőfiiego (adwianta generała Józefa Bema), z celemo przekreślonym drugim członem alternatywy: Most vagy soha – Teraz albo nigdy. ©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl

Softnacionaliści

Forsując liberalną politykę, nigdy nie pokonasz Orbána. Tylko jeśli pozostaniesz po stronie konserwatywno-nacjonalistycznej, może się to udać – mówią współpracownicy Magyara

Karolina

Wójcicka

korespondencja z Budapesztu

Niewielu polityków może liczyć na wsparcie aż trzech mocarstw w walce o reelekcję. Udało się to Viktorowi Orbánowi, wieloletniemu premierowi Węgier. W kampanię mającą zapewnić mu kolejne lata rządów zaangażowały się Stany Zjednoczone, Chiny i Rosja.

USA, od powrotu do władzy Donalda Trumpa, regularnie wspierają zaprzyjaźnionych polityków w Europie, ale jeszcze nigdy nie robiły tego na taką skalę. Podczas wizyty w Budapeszcie, dosłownie na kilka dni przed głosowaniem, wiceprezydent J.D. Vance mówił o Orbánie, że to człowiek „mądry i bystry”, i zapewniał o jego zwycięstwie. – Kocham Węgry i Viktora. Mówię wam, to wspaniały człowiek – przekonywał z kolei prezydent Trump, który zdalnie dołączył do jednego z wieców szefa Fideszu. Zażyłą przyjaźń Orbána z republikanami wykorzystuje się na wszystkich szczeblach. – Tak prowadzą kampanię lokalni działacze Fideszu: pokazują zdjęcia Orbána z Trumpem, podkreślają wizyty członków administracji na Węgrzech i na tej podstawie budują swój przekaz – mówi mi osoba ze sztabu opozycji.

Do pewnego stopnia za Orbánem opowiadają się także Chiny. Wieloletni premier w czasie kampanii zasypywał społeczeństwo obietnicami nowych świadczeń socjalnych i obniżek podatków. Nie ograniczał się przy tym jedynie do haseł. – W styczniu, gdy pa-

nowały duże mrozy, ogłosił, że rachunek za ogrzewanie nie może przekroczyć kwoty z grudnia. I to państwo pokrywało różnicę. Emeryci od kilku lat otrzymują dodatkowe świadczenie – jest im wypłacana trzynasta emerytura, zwykle w styczniu. W tym roku, tuż przed wyborami, dostali także czternastą – wylicza moje źródło w węgierskiej stolicy. – Państwo nie ma na to środków, więc zaciąga pożyczki w Chinach – podkreśla.

Najdalej posunęli się Rosjanie. Do Budapesztu wysłali specjalistów powiązanych z wojskowym wywiadem GRU, aby przeprowadzić operację hybrydową mającą na celu wpływ na przebieg głosowania. Według ustaleń serwisu śledczego VSquare.org, powołującego się na źródła w kilku europejskich służbach wywiadowczych, misją kieruje Siergiej Kirijenko, doradca Władimira Putina odpowiedzialny za rosyjskie operacje wpływu.

Brytyjski „The Financial Times” ustalił z kolei, że rosyjska firma IT Social Design Agency tworzy filmy generowane przez sztuczną inteligencję i wykorzystuje sieć trolli oraz botów do ich popularyzacji nad Dunajem. Plan kampanii w sieci, rzekomo zatwierdzony na Kremlu, ma zwiększyć szanse wyborcze Orbána, jednocześnie ośmieszając jego głównego rywala. Nagrania, które w ostatnich miesiącach krążyły w mediach społecznościowych, były wyjątkowo perfidne. Na jednym z nich widać, jak Péter Magyar, lider opozycyjnej partii TISZA prowadzi samochód i dojeżdża do skrzyżowania. Może skręcić albo w lewo – w kierunku Brukseli, albo pojechać prosto – w stronę Węgier.

– Nie martw się, Ursulo, ja zawsze wybieram lewą stronę – mówi do siedzącej obok przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen.

Z kolejnych filmów, tym razem opatrzonych logotypami renomowanych redakcji, jak Reuters czy Deutsche Welle, dowiadujemy się, że ukraińscy uchodźcy planowali zamach na Orbána. Pojawiają się też jeszcze bardziej „kreatywne” produkcje, ukazujące prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, jednego z najbardziej nielubianych polityków na Węgrzech, siedzącego na złotym sedesie, wciągającego kokainę i liczącego pieniądze.

Rosjanom zależało na reelekcji Orbána tak bardzo, że podobno ich wywiad rozważał drastyczniejsze działania. W raporcie przygotowanym dla Służby Wywiadu Zagranicznego, do którego dotarł „The Washington Post” i którego autentyczność potwierdziły europejskie służby wywiadowcze, zaproponowano sposób na „fundamentalną zmianę całego paradygmatu kampanii wyborczej” – poprzez „inscenizację zamachu na Orbána”.

Kto ingeruje w wybory

Każde mocarstwo ma powód, by wspierać premiera Węgier. Dla Trumpa Orbán jest sojusznikiem ideologicznym na Starym Kontynencie, walczącym z europejskim mainstreamem, którego amerykańska administracja nie akceptuje. Dla Putina Orbán jest kluczowy w blokowaniu sankcji UE i wstrzymywaniu wielomiliardowych pożyczek na dobrożenie Ukrainy.

– Odnosnie do Chin, nie sądzę, by chodziło o politykę. Kiedy deklarują poparcie dla Orbána, po prostu zależy im na stabilności, bo zainwestowali tu dużo pieniędzy, m.in. w fabryki ogniw do samochodów elektrycznych – opowiada inny rozmówca z kręgów opozycji. Inwestycje gigantów z Państwa Środka, m.in. BYD, mają uczynić z Węgier nie tylko centrum produkcji elektryków w Europie, lecz także jednego z wiodących światowych producentów akumulatorów litowo-jonowych. „Polityczna i gospodarcza otwartość Węgier pozwoliła Chinom częściowo złagodzić negatywne skutki rywalizacji z UE. Wę-

gry są kluczową bazą produkcyjną i logistyczną dla chińskich firm technologicznych, takich jak Huawei. Ponadto są jedynym krajem UE, który otwarcie wspiera interesy Chin w instytucjach Unii” – oceniał Ośrodek Studiów Wschodnich. – Dlatego – przekonuje moje źródło – dla Chińczyków kluczowe jest, by rząd w kraju, w którym inwestują, był stabilny. – Gdyby przez dziesięć lat rządził Péter Magyar, Chiny również by go wspierały, bo inwestują w stabilność – stwierdza nasz rozmówca.

Niezależnie od intencji działania mocarstw wpisują się w kampanię Fideszu, który przedstawia Orbána jako jedynego polityka zdolnego do zabezpieczenia interesów Węgier i zapewnienia obywatelom bezpieczeństwa. W tej narracji Magyar jest zdrajcą powiązany z Brukselą i Kijowem, które rzekomo mają wciągnąć Budapeszt w wojnę. Niechęć wobec Ukrainy i UE stała się zresztą głównym tematem kampanii Fideszu. Na ulicach miast dominują plakaty przedstawiające Magyara w towarzystwie Wołodymyra Zełenskiego i Ursuli von der Leyen. Przekaz jest prosty: „Fidesz – bezpieczny wybór”, podczas gdy pod zdjęciami Zełenskiego, Magyara i von der Leyen widnieje ostrzeżenie: „Oni są zagrożeniem”. Z kolei inne billboardy ukazują szeroko uśmiechniętego prezydenta Ukrainy z napisem: „Nie pozwól, by to Zełenski śmiał się ostatni”; to chwyt, który wykorzystano, by zdyskredytować George’a Sorosa, węgierskiego filantropa, którego Orbán uznał za swojego i Węgier wroga.

Do tej antyeuropejskiej narracji odniósł się w Budapeszcie Vance, ostro krytykując mitycznych biurokratów z UE, którzy „próbowali zniszczyć węgierską gospodarkę”, aby wpłynąć na niedzielne głosowanie, „bo nienawidzą tego faceta”. Stojąc obok Orbána, wiceprezydent USA stwierdził, że „to, co wydarzyło się w tym kraju w trakcie kampanii wyborczej, jest jednym z najgorszych przykładów zagranicznej ingerencji w wybory, jakie kiedykolwiek widziałem lub o jakich czytałem”.

Jego słowa wywołały oburzenie w stolicach europejskich. – Odrzucamy oskarżenia wysunięte przez wiceprezydenta USA – powiedział zastępca rzecznika niemieckiego rządu Sebastian Hille. Podkreślił, że kanclerz Friedrich

AUTOPROMOCJA



DGP

WYBORY
na Węgrzech

CODZIENNE
RELACJE Z BUDAPESZTU

Tylko w DGP najważniejsze wydarzenia, reakcje społeczne oraz polityczne kulisy wyborów ważnych dla całej Europy

■ najświeższe informacje ■ komentarze ■ analizy





Śledź na bieżąco na dgp.pl

Merz „nie ma preferencji” co do wyniku niedzielnego głosowania i zaakceptuje decyzję węgierskich wyborców.

Także Magyar skrytykował Vance'a na platformie X. „Żadne obce państwo nie może ingerować w węgierskie wybory – napisał. – To nasz kraj. Historia Węgier nie jest pisana w Waszyngtonie, Moskwie ani Brukseli – pisze się ją na ulicach i placach Węgier”.

Potrzebny nacjonalizm

Członkowie partii TISZA nie oczekiwali, że przedstawiciele liberalnego Zachodu staną po ich stronie. Chcieli nawet tego unikać, o czym mówili mi przed rozpoczęciem kampanii wyborczej. Przekonywali, że wyraźne podkreślenie podziału między prorosyjskim Fideszem a proeuropejską TISZĄ stawiałyby ich w niekorzystnym świetle. – Każde wsparcie z zagranicy lub mocniejszy głos z Europy Zachodniej byłby kontrproduktywny – tłumaczyła mi w styczniu bliska współpracowniczka Magyara.

Podczas kampanii utrzymywała kontakty z zagranicą – np. w kulisach Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa doszło do jego spotkania z Donaldem Tuskiem – ale nie budowali kampanii wokół tego typu sojuszy. – Musicie to zrozumieć: mamy bardzo konserwatywne społeczeństwo. W przeszłości socjaliści kładli większy nacisk na przynależność do Europy. Tyle że forsując liberalną lub lewicową politykę, nigdy nie pokonasz Orbána. Tylko jeśli pozostaniesz po stronie konserwatywno-nacjonalistycznej, może się to udać – dodała współpracowniczka Magyara.

Jej słowa znajdują potwierdzenie w badaniach. Według sondażu think tanku Policy Solutions z jesieni 2025 r. połowa Węgrów postrzega Ukrainę jako zagrożenie, 64 proc. sprzeciwia się jej przystąpieniu do UE, a 74 proc. nie popiera udzielania jej pomocy finansowej. Co istotne, prezydent Wołodymyr Zelenski należy do najmniej lubianych polityków – na równi z rosyjskim przywódcą Władimirem Putinem.

Być może dlatego Magyar często brzmi uderzająco podobnie do Orbána. W pewnym sensie nie powinno to dziwić – obecny lider opozycji był urzędnikiem państwowym i dyplomatą związanym z Fideszem od lat 2000. Przez 17 lat był także mężem Judit Vargi, minister sprawiedliwości, zanim w lipcu 2023 r. zrezygnowała ze stanowiska. Magyar wkroczył na scenę polityczną niedługo później – w marcu 2024 r. – ogłaszając plan stworzenia nowej politycznej platformy dla osób niezadowolonych z Fideszu i dotychczasowej, podzielonej i nieskutecznej opozycji. Punktem zapalnym był skandal związany z prezydenckim ulaskawieniem byłego dyrektora domu dziecka oskarżonego o tuszowanie przypadków wykorzystywania dzieci. Varga podpisała to ulaskawienie, a następnie wycofała się z życia publicznego.

Magyar nie ukrywa konserwatywnych korzeni i poglądów. Nacjonalistyczną retorykę i eurosceptycyzm Orbána wykorzystuje jako broń przeciwko rywalowi. Takie podejście pomogło mu wzmocnić pozycję w son-

Przekaz jest prosty: „Fidesz – bezpieczny wybór”, podczas gdy pod zdjęciami Wołodymyra Zelenskiego, Pétera Magyara i Ursuli von der Leyen widnieje ostrzeżenie: „Oni są zagrożeniem”

dażach, ale jednocześnie osłabiło nadzieje w Brukseli, że będzie oznaczał wyraźne, proeuropejskie odejście od konfrontacyjnego stylu Orbána.

W trakcie kampanii Magyar sprzeciwiał się przyspieszeniu procesu przyjęcia Ukrainy do UE i sygnalizował, że jej ewentualną akcesję poddałby referendum – co mogłoby całkowicie zablokować ten proces. Odrzucał też pomysł wysyłania broni do Kijowa. Jego TISZA zagłosowała w Parlamencie Europejskim przeciwko unijnej pożyczce dla Ukrainy o wartości 90 mld euro, mimo że Węgry nie były zobowiązane do wniesienia wkładu finansowego. Wcześniej krytykował też – jak to określa – ograniczanie praw węgierskiej mniejszości w Ukrainie. – Nikt nie chce rządu proukraińskiego – powiedział 28 marca.

Wersja soft

Pytanie, czy jest to zapowiedź polityki przyszłego rządu, czy tylko chwyt wyborczy mający zmobilizować wyborców do poparcia jego ruchu. – W kwestii wsparcia dla Ukrainy myślę, że Magyar byłby skłonny popierać pomoc finansową, o ile nie stanowiłaby

ona ogromnego obciążenia dla Węgier. Wyraźnie postawiłby granicę pomocy wojskowej, ale nie sądzę, żeby w jakikolwiek sposób mógł blokować innym państwom UE udzielanie takiego wsparcia, jeśli same by tego chciały – wyjaśnia mi Zsuzsanna Végh, badaczka German Marshall Fund of the United States (GMFUS).

Jak mówi, w relacjach Węgier z Ukrainą nie uda się uniknąć kwestii spornych. Jedną z nich jest sytuacja mniejszości narodowych, drugą – przynajmniej na razie – zaopatrzenie w energię. – Nowy rząd, przynajmniej w okresie przejściowym, chciałby zapewne w pewnym stopniu polegać na rosyjskich źródłach energii – zaznacza Végh.

W nowym rządzie mogą się jednak znaleźć osoby sprzeciwiające się takiemu podejściu. Na stanowisko ministra spraw zagranicznych wskazano Anitę Orbán – wieloletnią krytyczkę zależności Europy od rosyjskiej energii. Nowa miałaby być jednak przede wszystkim jakoś: zamiast sporów rząd Magyara, zdaniem moich rozmówców, będzie chciał rozwiązywać problemy poprzez rozmowy. I – co najważniejsze – zrezygnuje z tego, co Magyar określa jako „zdradę” interesów Węgier i Europy poprzez współpracę z Ro-

sją. Opozycjonista przedstawił wybory jako „referendum” w sprawie miejsca Węgier w świecie oraz okazję dla Węgrów, by zdecydowali, czy opowiadają się za bliższymi więziami z Moskwą, czy z Brukselą.

W tym sensie TISZA chce być wersją „soft” Fideszu. – Nowy rząd dążyłby do bardziej konstruktywnej współpracy z UE. Magyar jasno podkreślił, że Węgry powinny pozostać w Unii, podczas gdy partia rządząca zaczęła sugerować możliwość opuszczenia Wspólnoty – mówi ekspertka GMFUS. Jednocześnie ostrzeżenie: Magyar przedstawia się jako zaangażowany Europejczyk, ale nie jest federalistą ani euroentuzjastą. Wciąż pozostaje politykiem nacjonalistycznym; duży nacisk kładzie na suwerenność oraz ochronę węgierskiego narodu i państwa. – Te kwestie pozostaną kluczowe w jego podejściu do UE. Postrzega ją jednak jako platformę, która może wzmocnić Węgry, poprawić ich pozycję międzynarodową i stać się narzędziem rozwoju. Można się spodziewać większej współpracy, budowania koalicji i zakończenia polityki wet – wylicza.

Dlatego być może najtrafniej znaczenie niedzielnych wyborów ocenił think tank European Policy Centre, który przeprowadził badanie wykazujące, że w Parlamencie Europejskim TISZA zajmuje bardzo podobne stanowiska w kluczowych kwestiach do frakcji Orbána. Autorzy raportu konkludują: „Pokonanie Orbána miało by wymiar symboliczny, ale nie rozwiązałoby automatycznie napięć Węgier z Brukselą”. ©©

Sztandarowy antyliberał

Siła Orbána jest konsekwencją słabości jego przeciwników, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych

Z Carstenem

Q. Schneiderem

rozmawia
Karolina Wójcicka

Węgierskie wybory uchodzą za najważniejsze w tym roku. Tak, to przełomowy moment. Niezależnie od ich wyniku nie będzie już powrotu do dawnego stanu rzeczy.

Jak to? Jeśli wygra Viktor Orbán, prawdopodobnie będzie musiał jeszcze bardziej zaostrzyć kurs, bo zdaje sobie sprawę, że utracił poparcie społeczne. Z kolei Péter Magyar, lider partii TISZA, prowadzi kampanię, obiecując demontaż reżimu Orbána, skierowanie Węgier znów na Zachód i zmianę podejścia do UE. Przy czym nie chodzi o to, że się bezkrytycznie podporządkuje Brukseli, ale prawdopodobnie zrezygnuje z blokowania oraz wetowania wielu decyzji. Robi to częściowo z bardzo pragmatycznych pobudek: chce odblokowania unijnych środków. To ogromne pieniądze, których Budapeszt nie otrzymuje, ponieważ Orbán nie wdraża wymaganych przez Unię reform. Wybory te wpłyną również na region – na przyszłe głosowania

na Słowacji, w Polsce, we Francji, a nawet w Stanach Zjednoczonych.

W jaki sposób? Jeśli Orbán przegra – gdy w Niemczech rośnie w siłę AfD, zaś w Hiszpanii rozpycha się Vox – to wpłynie to na pozycję wszystkich ruchów nieliberalnych. Narracja, według której są one milczącą większością, stanie się jeszcze mniej wiarygodna. Szczególnie, że Orbán poświęcił dużo czasu i pieniędzy – w tym publicznych – aby wypromować siebie i Węgry na lidera międzynarodowego ruchu nieliberalnego. Tworzył think tanki i organizacje pozarządowe, budował sieci powiązań, wypchnął z kraju uczelnie, takie jak Uniwersytet Środkowoeuropejski (CEU), zastępując je innymi instytucjami. Były to realne inwestycje w budowę tego, co marksistowski filozof Antonio Gramsci nazywał hegemonią kulturową. Do tego Orbán zmienił sposób mówienia o przeszłości kraju oraz o przeszłości i przyszłości Europy. Była to – i jest – próba sprawienia, żeby wizja nieliberalnego systemu

przetrwiała jego samego oraz obecny rząd. Ta narracja rozprzestrzeniła się także poza granice Węgier, docierając za Atlantyk. Musimy przy tym pamiętać, że między siłami nie-liberalnymi istnieją duże różnice. Łączy je przede wszystkim sprzeciw wobec liberalnej demokracji i Europy, a w wielu przypadkach zgadzają się też co do hierarchicznego modelu społeczeństwa oraz przekonania, że kobiety winny być podporządkowane mężczyznom. Ale różnice są znaczące: ruchy nie-liberalne nie potrafią uzgodnić stanowisk w kluczowych kwestiach politycznych, jak np. stosunek do Moskwy. Węgry są prokremlowskie, zaś Polska – antyrosyjska, choć jej prezydent w innych sprawach bywa zgodny z Budapesztem. Węgry oraz rządzona przez Roberta Ficę Słowacja również pozostają w sporze o traktowanie mniejszości węgierskiej na Słowacji.

To dlatego nieliberalne siły zaangażowały się na taką skalę w węgierskie wybory? Wsparcie płynie z całego świata:

od Putina, Trumpa, Mileia. Budowanie tego typu nieliberalnej sieci było świadomą i sprytną strategią Orbána. Efektem tych kosztownych inwestycji jest to, że inni aktorzy polityczni stają dziś po jego stronie. Dla takich środowisk kluczowe jest utrzymanie Orbána jako sojusznika, przede wszystkim ze względów symbolicznych. Ale te związki są czasami dziwne... Ciekawie wygląda to w przypadku ruchu MAGA – bo jeśli ktoś określa się jako patriota i przedstawia się jako obrońca ojczyzny, a tak czyni Orbán, to trudno logicznie uzasadnić jego poparcie dla prezydenta USA, który domaga się od Danii oddania Grenlandii czy ingeruje w wewnętrzne sprawy innych państw. Wiele z działań ruchów nieliberalnych przeczy zdrowemu rozsądkowi, jak choćby wypowiedź wiceprezydenta USA J.D. Vance'a, który podkreśla, że nie należy ingerować w wybory, a jednocześnie zachęca do głosowania na Orbána. Widać wyraźnie, że logika przestaje tu odgrywać większą rolę. To jednak realny problem dla samozwańczych patriotów – w tym sensie ruch MAGA staje się dla nich obciążeniem.

Europejscy przywódcy – zwłaszcza Angela Merkel – chronili Orbána. Fidesz został zawieszony w Europejskiej Partii Ludowej dopiero w 2019 r. Czy w związku z tym powinniśmy obwiniać UE za to, co się stało? Jeśli mamy na myśli instytucje Unii – Parlament i Komisję – to trzeba powiedzieć, że zareagowały stosunkowo szybko. Jako pierwsze potępiły działania Orbána i podjęły odpowiednie kroki. Natomiast europejskie rządy, zwłaszcza konserwatywne, długo przymykały oko na jego działania. Europejska Partia Ludowa aż do lat 2017–2018 udawała, że Orbán jest po prostu trochę ekscentryczny, ale swój.

To było frustrujące, bo jeśli ktoś chciał, mógł już w 2011 r. dostrzec, że sytuacja na Węgrzech przestaje być normalna. Dlatego uwaga, jaką dziś poświęca się temu krajowi, jest w pewnym sensie spóźniona o półtorej dekady. Jednym z problemów była także ochrona Orbána ze strony partii centroprawicowych, zwłaszcza z Niemiec i Austrii. W 2016 r. bawarska CSU zaprosiła go do siebie i chwaliła jako „strażnika granic Europy”. Moim zdaniem demaskowanie Orbána jako polityka, który nie mieści się w centroprawicy, zaczęło się na dobre, gdy zaatakował CEU. Uczelnia nagłośniła sprawę, jej przedstawiciel wystąpił w Parlamencie Europejskim. Wtedy – przynajmniej w moim odczuciu – skończyła się możliwość udawania, że to zwykły konserwatywny polityk. To było w 2017 r., a Lex CEU pojawiło się pod koniec marca 2017 r. Na ulicach protestowało wtedy 70 tys. osób w obronie niewielkiej prywatnej uczelni. Zamiast się wycofać, Orbán zaostrzył kurs. Były próby znalezienia kompromisu – m.in. rząd Bawarii zaproponował, że jeśli CEU pozostanie w Budapeszcie, to sfinansuje pracę trzech profesorów i wprowadzi współpracę z Uniwersytetem Technicznym w Monachium, jednym z najlepszych w Niemczech. To był moment, kiedy pomyślałem, że Niemcy być może po raz pierwszy użyją swojej siły gospodarczej do celów politycznych – czego zasadniczo nie robią. Ostatecznie nic się nie wydarzyło. Orbán nie poniósł konsekwencji. Tymczasem firmy takie jak BMW, Mercedes czy Bosch inwestują na Węgrzech miliardy euro. Gdyby nagle zniknęły, PKB kraju spadłby o kilka procent.

Skoro Europejczycy nie powstrzymali Orbána, to czy uda im się zatrzymać Amerykanów i Rosjan przed wybieraniem nam premierów i prezydentów? Z badań nad zmianami reżimów wiemy, że takie procesy rozstrzygają się głównie na poziomie krajowym. Z zewnątrz można zrobić niewiele w sposób celowy. Nawet w najlepszym przypadku wpływ jest ograniczony, a czasem przynosi efekt odwrotny do zamierzonego. Dlatego gdy do Budapesztu przyjeżdża Vance i mówi: „Głosujcie na Orbána”, można się zastanawiać, czy to w ogóle trafia do Węgrów, którzy postrzegają się jako dumny naród i nie lubią, gdy ktoś mówi im, co mają robić. Sekretarz Stanu USA Marco Rubio również odwiedził Węgry – i nie można powiedzieć, że pomogło to Orbánowi. Od tego czasu różnica w sondażach między TISZĄ a Fideszem powiększyła się na korzyść tego pierwszego ugrupowania. Nie twierdzę, że to efekt wizyty Rubio, ale trudno uznać tę wizytę za szczególnie pomocną. Oczywiście, nie jest bez znaczenia fakt, że najpotężniejsze państwa świata próbują wpływać na sytuację w taki czy inny sposób, ale ostatecznie wynik wyborów nie rozstrzygnie się za granicą. Ważniejsze pytania

brzmiały: co stanie się później, niezależnie od tego, kto wygra, i jak duży wpływ na Węgry będą miały działania mocarstw regionalnych i globalnych?

Jeśli wygra Magyar, czy Putin wstrzyma dostawy ropy i gazu? A może Trump uzna wybory za sfałszowane?

Nie wiemy, ale jedno wydaje się pewne: UE – niezależnie od wyniku wyborów – będzie musiała zmierzyć się z koniecznością reformy procesu decyzyjnego. Bo jeśli nie Orbán, to ktoś inny w przyszłości może blokować kluczowe decyzje, np. dla Ukrainy, korzystając z prawa weta.

Istotną rolę w normalizacji Orbána odegrali sami Węgrzy. Co sprawiło, że stali się tak podatni na system skoncentrowany wokół jednej osoby? Jednocześnie zdaje się, że część społeczeństwa wierzy w propagandę Kremla, choć Węgry były wielokrotnie uciskane przez Rosję. Z czego to wynika?

Na początku lat 2000 pisałem doktorat o konsolidacji demokracji w Europie oraz Ameryce Łacińskiej. Z ówczesnych analiz wynikało, że regionem, który radził sobie najlepiej – nawet lepiej niż uznawana za wzór Hiszpania po śmierci gen. Franco – była Europa Środkowo-Wschodnia, w tym Węgry. Dochodziło tu do rotacji władzy, zabezpieczano prawa mniejszości itd. Zadałem więc sobie pytanie: czy już w latach 2000–2004 można było przewidzieć, jak sytuacja będzie wyglądać w 2014 r.? Nie mam jednoznacznej odpowiedzi. Kilka rzeczy mogę jednak wskazać. Nie jestem ekspertem od historii Węgier, ale wiadomo, że kraj miał tradycję silnych przywódców, jak np. Miklós Horthy. Orbán w pewnym stopniu gra na figurze silnego lidera, który mówi: „Ochronię was przed złym światem”. Do tego dochodzi poczucie historycznej krzywdy, bo traktat z Trianon z 1920 r. pozostaje tam otwartą raną. Jest też głęboko zakorzenione poczucie bycia wyspą językową, otoczoną przez Słowian i Niemców. Nawet liberałowie obawiają się czasem, że Węgrzy mogą zniknąć jako naród – co, patrząc na demografię i emigrację, nie jest całkowicie abstrakcyjne. Takie lęki można bardzo łatwo wykorzystać politycznie, mobilizując społeczeństwo. Druga kwestia to charakter transformacji ustrojowej. W przeciwieństwie do innych krajów regionu nie było wyraźnego zerwania z przeszłością. Zamiast tego odbyły się negocjacje, a wielu przedstawicieli dawnej nomenklatury przeszło do systemu demokratycznego. To pozwalało Orbánowi budować prostą narrację: „Głosując na mnie, odrzucacie komunizm; głosując przeciwko mnie – wspieracie komunizm”. Do tego dochodzi fakt, że w przeciwieństwie np. do Niemiec nie otwarto szeroko archiwów bezpieki, co utrudniło rozliczenie z przeszłością. Sama gospodarka w czasach komunizmu

też nie była w dramatycznej sytuacji, komunizm gulaszowy dawał również pewien poziom swobody.

Co się wydarzyło potem? Nastąpił splot okoliczności sprzyjających Orbánowi: nieudolne rządy socjalistów i kryzys finansowy 2008 r. Musiał właściwie tylko poczekać na wybory. W tym czasie przesunął się wyraźnie na prawo, wykorzystując narracje narodowe; w końcu przyznał obywatelstwo Węgrom mieszkającym za granicą, co również miało znaczenie polityczne. To oczywiście uproszczony obraz. Nie wierzę w coś takiego jak narodowy charakter – nie ma nic, co czyniłoby Węgrów z natury bardziej podatnymi na taki system. Były przecież okresy, gdy Węgry uchodziły za wzór liberalnych reform demokratycznych. Sam Orbán był protegowanym Helmuta Kohla i współpracował z liberalnymi politykami.

Co spowodowało, że z antykomunistycznego liberała Orbán przemienił się w sojusznika Rosji, o luźnym stosunku do demokracji?

Nie chcę psychologizować, ale uważam, że przegrana w wyborach w 2002 r. była dla niego traumatyczna. Był wtedy najmłodszym premierem w Europie, pierwszą mowę wygłosił już w 1989 r., wzywając Sowieców do opuszczenia Węgier. Mało kto wie, że w rzeczywistości prowadzone były już wtedy tajne rozmowy na ten temat. Ludzie dawnego reżimu zastanawiali się, po co on to mówi – czy nie zaszukodzi przypadkiem negocjacji z Kremlem? Orbán jednak powiedział swoje, pewnie zdając sobie sprawę z ryzyka. W 2002 r. musiał pomyśleć: „Nie zmienię kraju, jeśli co cztery lata muszę przechodzić przez wybory, które mogę przegrać. Zrobię wszystko, by temu zapobiec”. I to właśnie widać w obecnym systemie. Trzeba mu przyznać, że jego siła jest też konsekwencją słabości przeciwników, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Dostrzegł, moim zdaniem, intelektualną i polityczną lukę w liberalnym porządku demokratycznym: partie udają, że reprezentują ludzi, frekwencja spada, bo porzucono biednych i marginalizowanych. Orbán powiedział sobie: „Zrobię to inaczej. Nie będę udawał, że wszystkich włączam – wykluczam biednych i Romów”. Trochę jak Trump: jego wypowiedzi są szokujące, ale przynajmniej nie udaje, że robi coś innego, niż mówi. ©P

W wywiadzie uczestniczyli również dziennikarze innych europejskich redakcji



Carsten
Q. Schneider

rektor Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego, który do 2017 r. miał siedzibę w Budapeszcie



FOT. JADE GAO/AFP/EAST NEWS

Prezydent Chin Xi Jinping.
Pekin, 3 września 2025 r.

Cierpliwe układanie kamyczków

Gdy Trump grozi światu, wymachując kijem golfowym, Chińczycy grają w go. I zdobywają na globalnej planszy kolejne pola

Witold

Sokała

Donald Trump ogłosił w środę, że dwutygodniowe zawieszenie broni w jego wojnie przeciwko Iranowi stanowi ogromny sukces oraz „całkowite zwycięstwo” Ameryki. Zapowiedział także „dużo pozytywnych działań” i „zarabianie dużych pieniędzy”. To retoryka charakterystyczna dla obecnego prezydenta USA, zapewne mająca przykryć niewygodne dlań fakty.

Na przykład, że reżim ajatollahów – choć mocno wykrwawiony – przetrwał, chociaż miał runąć po amerykańsko-izraelskim ataku. W dodatku podsunięte przez Pakistan pokojowe „10 punktów” jako podstawa do dalszych, zapowiadanych negocjacji, de facto stanowi powrót do przedwojen-

nego status quo, z lekką korektą na korzyść Teheranu. Warto też zauważyć, że niezbyt dobrze przemyślana operacja wojskowa co prawda zagroziła ekonomicznym interesom Chin oraz Unii Europejskiej (co akurat z punktu widzenia Waszyngtonu było plusem), ale przede wszystkim dała solidny oddech reżimowi Putina – czyli wbrew twierdzeniom niektórych fanów amerykańskiego prezydenta obiektywnie wzmocniła globalną oś zła, zamiast ją osłabiać. Uderzyła jednocześnie w interesy bezpieczeństwa licznych sojuszników USA na Bliskim Wschodzie i w Azji, skłaniając ich do nerwowych reakcji.

Stany Zjednoczone stały się więc eksporterem chaosu – a na tym tle ktoś inny zyskał kolejną szansę, by prezentować się światu jako ostoja porządku i stabilności. A w związku z tym jako gracz o rosnącej sprawczości.

Smok działa pośrednio

Pakistan nie podjął się roli pośrednika w negocjacjach amerykańsko-irańskich wyłącznie na własną rękę, co do tego chyba nikt nie miał wątpliwości od samego początku – nie miał do tego ani niezbędnego potencjału i posłuchu u zważnionych stron, ani w gruncie rzeczy jasnego interesu. To co prawda państwo nuklearne, ale jednocześnie ekonomiczny bankrut, coraz bardziej uzależniony gospodarczo oraz militarnie od Pekinu. To, że rola Chińskiej Republiki Ludowej w sformułowaniu propozycji politycznej oraz jej przeforsowaniu była kluczowa – potwierdził zresztą post factum sam Trump w wywiadzie dla agencji AFP.

Odnosił się co prawda tylko do jednej strony negocjacyjnego równania – mówiąc, że to Chińczycy skłonili Teheran do akceptacji zawieszenia bro-

ni. W kontekście tego, że zyski Iranu z tego gestu były akurat bardziej oczywiste niż Amerykanów – łatwo się domyślić, że równolegle musiały trwać także inne konsultacje. Prawdopodobnie pośrednie, z udziałem na przykład sunnickich monarchii arabskich, ale niewątpliwie zdanie Pekinu zostało wzięte pod uwagę również przez Waszyngton. Tradycyjnie powściągliwa w takich sytuacjach dyplomacja Państwa Środka ograniczyła się do komunikatu, że „Chiny poczyniły własne wysiłki na rzecz osiągnięcia trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie” i przyjęły zawieszenie broni z zadowoleniem, ale politycy i biznesmeni z całego świata zapewne dobrze zrozumieli, komu zawdzięczają przynajmniej chwilowe przerwanie niebezpiecznej awantury.

Przy tym – nie ulega też wątpliwości, że Chińczycy nie są tu bezstronnym arbitrem. Ledwie kilka dni wcześniej ▷

minister spraw zagranicznych Wang Yi oświadczył przeciw rosyjskiemu szefowi dyplomacji Siergiejowi Ławrowowi (państwowa agencja Xinhua poniosła komunikat w świat), że to Moskwa jest kluczowym partnerem ChRL w polityce bliskowschodniej. W tej samej rozmowie telefonicznej Wang stwierdził, że podstawowym sposobem rozwiązania „problemów nawigacyjnych” w cieśninie Ormuz (cóż za uroczy eufemizm!) jest jak najszybsze osiągnięcie zawieszenia broni – po czym ChRL i Rosja w Radzie Bezpieczeństwa ONZ solidarnie zagłosowały przeciwko przygotowanej przez Bahrajn rezolucji w tej sprawie, uznając ją za „stronniczą” i niekorzystną dla Iranu. To mniej więcej wtedy Trump pisał słynny post, grożący, że lada moment „zginie cała cywilizacja”. A już kilkanaście godzin później Teheran i Waszyngton uznały dokument przedłożony przez Pakistan za dobrą bazę do przerwania działań militarnych i podjęcia rozmów.

Złapał Kozak Tatarzyna...

Gdyby kogoś to dziwiło, warto, by zauważył wypowiedzi Jamiesona Greera, pełniącego w republikańskiej administracji funkcję przedstawiciela ds. handlu, a jednocześnie specjalnego doradcy Trumpa, uważanego za głównego architekta jego polityki taryfowej. Na wtorkowym spotkaniu think tanku Hudson Institute podkreślał on, że „gospodarcze i handlowe relacje USA z Chinami są stabilne, a prezydent będzie dążył do ich utrzymania podczas spotkania z Xi Jinpingem w przyszłym miesiącu”, dodając, że „nie szukamy wielkiej konfrontacji z Chinami ani niczego w tym rodzaju”.

To logiczne – sytuacja, w której Amerykanie co prawda utrzymują wysokie cła na wiele chińskich towarów, lecz zachowują dostęp do pierwiastków ziem rzadkich (REE) z Państwa Środka, służy bieżącym interesom obu stron. Ale Xi może spokojnie kalkulować w dłuższej perspektywie, a Trump ma na karku wybory połówkowe. Jest więc bardziej niż jego kontrpartner zainteresowany tym, by chwiejnego konsensusu nie naruszyć. I nie sprowokować kolejnego przesunięcia terminu bezpośredniego spotkania z Xi (atak na Iran miał m.in. właśnie taki skutek). – Chcemy mieć pewność, że nadal będziemy mogli pozyskiwać REE od Chińczyków – przyznał Greer w wypowiedzi.

USA co prawda pracują usilnie nad zapewnieniem sobie niezbędnych dostaw z innych kierunków, ale na razie rezultaty nie są zadowalające. Dlatego w otoczeniu eksperckim Białego Domu powracają koncepcje, by zamiast iść na ostrą konfrontację z ChRL, co potencjalnie może mieć rujnące skutki dla obu gospodarek, jednak dogadać się co do minimum wspólnych interesów, a być może nawet co do podziału stref wpływów i wspólnego szachowania słabszych graczy. Stąd zapewne koncepcje powołania Rady Handlu, która określałaby, jakie towary oba mocarstwa mogłyby w sposób zrównoważony wymieniać między sobą, nie przekraczając przy tym czerwonych linii bezpieczeństwa narodowe-

W otoczeniu Białego Domu powracają koncepcje, by zamiast iść na ostrą konfrontację z ChRL, dogadać się co do minimum wspólnych interesów

go, a także Rady Inwestycyjnej, która miałyby omawiać bieżące kontrowersje dotyczące ewentualnej blokady inwestycji konkretnych firm w Stanach Zjednoczonych lub Chinach. Możliwe, że będzie to jednym z tematów majowego spotkania Xi-Trump. Na razie Amerykanin wysłał zachęcające sygnały, w tym szokującą dla wielu zapowiedź, że „byłby otwarty” na pomysł ulokowania w USA fabryki chińskiego producenta samochodów elektrycznych BYD.

Poza marchewką w relacjach z ChRL Stany oczywiście wciąż nie rezygnują z kija. Ilustrują to choćby niedawne działania, takie jak wszczęcie nowych dochodzeń w sprawie nieuczciwych praktyk handlowych. Ale w kluczowej sprawie Iranu postawiony pod ścianą Trump chyba nie miał innego wyjścia, niż przyjąć chińską ofertę deeskalacji. Przynajmniej tymczasowej.

Chiny globalne i kosmiczne

Chiny zdobywają punkty także w innych rejonach planszy. Na przykład w relacjach z Afganistanem i Pakistanem, dwoma państwami, w których Pekin ma żywotne interesy ekonomiczne i bezpieczeństwa, a które w październiku ubiegłego roku wzięły się za łby. Negocjacje, raczej nieprzypadkowo toczące w Urumczy (czyli stolicy muzułmańskiej prowincji Sinciang w północno-zachodnich Chinach), przyniosły w tym tygodniu kolejne zbliżenie stanowisk stron – o czym z satysfakcją informowało chińskie MSZ. Komentarzy nie są w tej sprawie zgodni: dla jednych konieczność łagodzenia bójki między swoimi satelitami dowodzi realnej słabości chińskich wpływów na kraje islamskie, podczas gdy inni wskazują, że strategia dziel i rządź, umiejętnie sterująca endogennymi konfliktami pomiędzy lokalnymi politykami, generałami i klanowymi watażkami, w gruncie rzeczy pozbawia Kabul oraz Islamabad jakiegokolwiek alternatywy dla chińskiego patronatu.

W ten sposób Pekin za jednym zamachem zapewnia sobie dostęp do istotnych zasobów surowców, a także umacnia strategiczną obecność w regionie, która z kolei pozwala wpływać na sytuację na całym Bliskim Wschodzie (w tym w Iranie), w porządku, azjatyckim interiorze (wypychając stamtąd stopniowo Rosjan oraz blokując nieśmiało próby zaistnienia Europejczyków i Amerykanów) oraz przede wszystkim – flankować Indie od północnego zachodu.

To gra o wielkiej wadze – wszak mowa o potędze demograficznej, co raz śmieiej rozpychającej się w światowej gospodarce, a w konsekwencji także

w polityce. I w cieniu rywalizacji Chin z Zachodem budującej własną potęgę wojskową, w tym oceaniczną marynarkę wojenną (ćwiczącą od pewnego czasu razem z USA, Wielką Brytanią, Japonią i Australią) oraz strategiczne siły lotnicze i rakietowe, czyli zdolną „w razie W” skutecznie sparaliżować chińskie szlaki dostaw z Bliskiego Wschodu. Nic więc dziwnego, że Chiny od dłuższego czasu prowadzą z Indiami grę bardzo podobną do tej, która teraz zaczyna się toczyć w ich stosunkach z USA: to mieszanka dyplomacji łagodzącej niektóre mniej istotne różnice, być może w celu uspienia czujności przeciwnika, punktowych uderzeń o charakterze hybrydowym (od szpiegostwa po dywersję i wspieranie terrorystów), a jednocześnie prób maksymalizowania korzyści ekonomicznych tam, gdzie to tylko możliwe.

ChRL toczy też upartą batalię o Amerykę Łacińską, Afrykę, rozbudowę swoich zdolności i wpływów w Arktyce (już nie tylko za pośrednictwem rosyjskiego partnera, lecz także bezpośrednio) oraz w Antarktyce, śmiało sięga w Kosmos – zdając sobie sprawę, że zapewne tam leżą główna nagroda oraz instrumenty do realnego panowania nad światem.

Nie tak dawno Pekin podjął też próbę włączenia się jako aktor do rozgrywki o Ukrainę. Oferty kierowane do niektórych tamtejszych polityków i oligarchów, oferując im patronat (i perspektywę właściwego „ustawienia” po zakończeniu wojny) w zamian za wierne chronienie chińskich interesów w perspektywie krótkiej (dostęp do zasobów) i zapewne dłuższej (integracja z UE). Wygląda na to, że kontrakcja Amerykanów (no bo kogóż innego?) zablokowała te inicjatywy. Ale czy na zawsze, to bardzo wątpliwe.

Z samymi państwami unijnymi (i analogicznie Wielką Brytanią oraz Norwegią) Chińczycy prowadzą wielopoziomową grę, czasami strasząc, częściej korumpując, a niekiedy nawet oferując rzeczywiście atrakcyjne opcje gospodarcze. Amerykańskie wymachiwanie kitem bardzo im tę politykę ułatwia. Człowi politycy niemieccy, francuscy czy brytyjscy nieprzypadkowo pielgrzymowali do Pekinu szczególnie chętnie akurat wtedy, gdy Trump uderzał w ich fundamentalne interesy – a szef chińskiej dyplomacji Wang Yi otwartym tekstem przedstawiał Europejczykom ścisłą współpracę z ChRL jako lepszą opcję niż trzymanie się USA. W ostatnich dniach w oczach wielu ludzi na Starym Kontynencie ta oferta niewątpliwie mocno zyskała na atrakcyjności. Przykładem zachęcającą się w sobotę podróż do Chin premiera Hiszpanii Pedro Sáncheza.

Azja first!

Z oczywistych względów oczkiem w głowie towarzysza Xi pozostaje jednak Azja

Południowo-Wschodnia. I tutaj też chińska ofensywa, choć może niezbyt spektakularna, notuje nowe sukcesy.

Reżim północnokoreański dopuścił się w tym tygodniu kolejnej eskalacji, wystrzelując kilka rakiet balistycznych w ramach testów militarnych, grożących bezpośrednim sąsiadom. Towarzyszyły temu buńczuczne oświadczenia władz w Pjongjangu, sygnalizujące brak woli współpracy i gotowość do konfrontacji. Koreańczycy z Południa zwołali nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego, a Japończycy podnieśli gotowość bojową, spodziewając się dalszych prowokacji – jednocześnie zdając sobie sprawę, że argumenty o łamaniu rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ nie mają już żadnego znaczenia, zaś zaangażowani w bombardowanie Iranu Amerykanie raczej nie przyjdą im z pomocą, gdyby wydarzenia wymknęły się spod kontroli. Za to do Pjongjangu natychmiast udał się Wang Yi – po raz pierwszy od 2019 r. – ostentacyjnie komunikując, że to Pekin jest jedynym graczem, zdolnym gwarantować pokojowe status quo w regionie.

Do Pekinu wyruszy za to niebawem To Lam, niedawno wybrany na nowego prezydenta Wietnamu, a jednocześnie szef tamtejszej partii komunistycznej (i były minister bezpieczeństwa). Jego rozmowy z Xi Jinpingem mają dotyczyć technologii (w tym 5G), wrażliwej infrastruktury, a także obronności i bezpieczeństwa energetycznego – Chińczycy już obiecali politykom z Hanoi istotne wsparcie w tych dziedzinach. Bazą do porozumienia dwóch państw przynajmniej teoretycznie komunistycznych, acz skonfliktowanych przez trudną historię i rozbieżności regionalnych interesów, jest obecnie wspólne zagrożenie polityką celną USA oraz niestabilnością dostaw surowców z Bliskiego Wschodu.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z chińskim planem, Wietnam powinien w obliczu ostatnich wydarzeń ostentacyjnie dać sobie spokój z podejmowanymi od kilku lat próbami reorientacji „na Zachód”, a przynajmniej polityki wielowektorowej, czyli wkomponować się trwale w chińską strefę wpływów. Sam wybór To Lama na prezydenta jest zresztą raczej nieprzypadkowym sygnałem w tym kierunku – ta koncentracja władzy w jednych rękach jest nietypowa w Wietnamie, natomiast odwzorowuje model chiński. Podobnie jak profil polityczny tego przywódcy: łączy on skłonności autorytarne, mocne nawet jak na ten region, z poparciem dla oligarchicznego, państwowego kapitalizmu i ograniczonego stosowania mechanizmów rynkowych.

Tajwan: go zamiast golfa?

Wisienką na torcie chińskich aspiracji pozostaje rzecz jasna Tajwan. Pekin stosuje tu działania wielotorowe, czasami demonstracje militarne, mające sugerować gotowość do zbrojnego podboju wyspy, czasami instrumenty bardziej subtelne.

Na przykład: usilnie pracuje nad przejściem zaawansowanej techno-

CHINY

logii produkcji chipów, która stała się znakiem rozpoznawczym Tajwanu oraz solidnym gwarantem jego bezpieczeństwa. Jak wskazują nowe raporty wywiadowcze Republiki Chińskiej, obejmuje to nie tylko klasyczne szpiegostwo przemysłowe, lecz także pozyskiwanie najbardziej utalentowanych pracowników sektora oraz specjalnie profilowane ułatwienia dla wybranych przedsiębiorstw z Tajwanu, mające skłaniać je do przenoszenia działalności na terytorium ChRL. Równocześnie Chiny przygotowują szeroko zakrojoną akcję wpływu informacyjnego (obejmującą m.in. takie narzędzia jak deepfaki i fałszywe sondaże opinii) w celu ingerencji w nadchodzące wybory lokalne na Tajwanie.

W tej atmosferze do Chin udała się właśnie „z misją pokojową” (sic!) liderka tajwańskiej opozycji Cheng Li-wun. Przewodnicząca Kuomintangu, partii wywodzącej się z tradycji walki o niepodległe i republikańskie Chiny, ale od lat zajmującej bardzo ugodowe stanowisko wobec komunistów, włożyła ostatnio sporo wysiłku w zablokowanie w parlamencie planów zwiększenia wydatków na obronę. – Jeśli naprawdę kochasz Tajwan, wykorzystasz każdą najmniejszą szansę, każdą możliwą okazję, żeby uchronić Tajwan przed spustoszeniem wojną – powiedziała na lotnisku.

Przypomina nam to europejskie „partie pokoju”, które koniecznie chcą uniknąć walki z Rosjanami – nawet za

cenę kapitulacji przed nimi. A ChRL wzmacnia te narracje, przypominając wyborcom z wyspy, że Amerykanie pod wodzą Trumpa wcale nie zamierzają ich bronić, za to mogą ich łatwo przehandlować. Lepiej więc uprzedzić nieuniknione i ograniczyć straty, tym bardziej że kontynentalny Smok na użytek chwili będzie miły i łagodny. Plan wizyty Cheng, obejmujący m.in. złożenie kwiatów przed pomnikiem „ojca chińskiej niepodległości” Sun Jat-sena oraz spotkania z czołowymi politykami ChRL (być może samym Xi, do końca nie było to potwierdzone) wpisuje się znakomicie w taki scenariusz.

Działania Chin bardzo przypominają prastarą azjatycką grę w go, niezwykle popularną w Państwie Środka. Cho-

dzi w niej o obstawienie planszy swoimi kamykami w taki sposób, by zająć większy obszar niż przeciwnik. Po drodze wymaga to sprytnego paraliżowania jego ruchów oraz przede wszystkim prawidłowej oceny użyteczności konstruowanych kształtów. Optymalną figurą jest oko, obszar tak obstawiony własnymi kamieniami, że przeciwnik nie ma już do niego dostępu. Wygląda na to, że Pekin właśnie konstruuje takie oczy w Azji i na Bliskim Wschodzie. ©©



Więcej tekstów
tego autora
Skanuj
kod!
DGP.pl



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Walutowa poduszka bezpieczeństwa

Artur Klimek

Rezerwy walutowe powinny być jednym z najnudniejszych tematów gospodarczych i być zarządzane z chłodną głową. Stanowią bowiem bardzo ważny wskaźnik pozycji danego kraju w globalnym porządku finansowym. A więc winny z daleka i wyraziście sygnalizować stabilność gospodarczą.

Rezerwy walutowe to oficjalnie gromadzone przez państwo instrumenty finansowe denominowane w obcych walutach oraz w złocie. Państwa przechowują rezerwy w różnych instrumentach finansowych, w różnych wysokościach, w różnych celach. Ale zawsze powinny być one dostosowane do modelu ekonomicznego, struktury gospodarki i oceny sytuacji.

Podstawowymi celami utrzymywania rezerw jest zapewnienie płynności i stabilizacja waluty. Cele płynnościowe oznaczają, że państwa potrzebują rezerw, by dokonywać płatności w walutach obcych czy móc obsługiwać zadłużenie. Adekwatność rezerw walutowych można określić poprzez porównanie ich wysokości z wartością importu: oblicza się, na ile miesięcy wystarczy walut obcych, aby zapłacić za dobra oraz usługi sprowadzane z zagranicy (np. za ropę naftową).

Posiadanie rezerw w odpowiedniej wysokości to obrona systemu finansowego i całej gospodarki. Tu można użyć analogii wojskowej: ich odpowiednia wysokość działa jak sprawna armia, której głównym celem jest odstraszenie wrogów. Państwa mające dużą poduszkę finansową są mało atrakcyjnym celem dla zamierzonych spekulacji, ale też zyskują zaufanie inwestorów, ponieważ mogą użyć tych rezerw do obrony w przypadku wystąpienia nieoczekiwanych napięć międzynarodowych, których ostatnio nie brakuje.

Największe rezerwy walutowe posiadają Chiny. Zgromadzone przez nie ok. 3 bln dol. oznacza, że jedna piąta światowych rezerw przypada na to państwo. Środki zasilające tę górę pieniędzy pochodzą głównie z nadwyżki handlowej, którą Pekin wypracowuje od lat. W pierwszej dwudziestce największych posiadaczy rezerw dominują zresztą duzi eksporterzy, którzy odkładają część walut płynących z zagranicy.

Adekwatność poziomu rezerw walutowych jest względna. O tym, czy wielkość ta jest odpowiednia, czy też nie, decyduje sytuacja rynkowa. Na przykład Chiny w 2016 r. w wyniku interwencji mającej powstrzymać deprecjację renminbi zmniejszyły rezerwy o setki miliardów dolarów. Od tego czasu nie wróciły one do rekordowych poziomów. I mowa tutaj tylko o jednej interwencji. Z kolei Japonia dokonywała w 2023 r. interwencji ratujących wartość jena, co wiązało się ze zmniejszeniem rezerw o dziesiątki miliardów dolarów. Globalny rynek walutowy to 9,6 bln dol. transakcji każdego dnia, a zatem, aby utrzymać stabilność własnej waluty, trzeba dysponować ogromnymi środkami, choć nawet to nie daje pewności.

Szwajcarzy dokonywali innego rodzaju interwencji – zależało im na osłabieniu swojej waluty. W latach 2011–2015 na dużą skalę zwiększali podaż („dodrukowali”) franków, aby skupować za nie euro, a tym samym wpłynąć na kurs wymiany tych dwóch walut. W pewnym momencie Szwajcarski Bank Narodowy zgromadził tyle tracącego na wartości euro, że zdecydował się zakończyć utrzymywanie zaniżonej ceny własnej waluty, co doprowadziło do jej gwałtownego umocnienia.

Dla odmiany Amerykanie posiadają bardzo niskie rezerwy walutowe. Wyjaśnienie jest proste – nie muszą mieć wyższych. I nie muszą się martwić o zakupy surowców z zagranicy, bo płacą za nie własną walutą, którą mogą drukować bez ograniczeń. To inne gospodarki są zainteresowane kumulowaniem dolara. Amerykańskie rezerwy walutowe składają się głównie ze złota, którego zapasy są pozostałością systemu z Bretton Woods.

To, co rozgrzewało inwestorów w ostatnich latach, to wzrost ceny złota. Złożyło się na to kilka czynników, ale jednym z ważniejszych były duże zakupy kruszcu przez banki centralne. Znowu należy rozważyć, czy celem tych banków powinno być gromadzenie rezerw, czy zarabianie na zmianie cen aktywów finansowych i szybka realizacja zysków. We Włoszech niedawno gorąco dyskutowano, czy skorzystać z wysokiej ceny złota i upłynnić część jego zapasów – trzecich na świecie pod względem wielkości. Tamtejszy bank centralny zachowuje jednak daleko idącą wstrzeźliwość w tym zakresie.

Niektóre kraje posiadające wysokie rezerwy walutowe wydzieliły ich część. Środki te następnie ulokowano w państwowych funduszach majątkowych, które przypominają bardziej fundusze inwestycyjne niż konserwatywne instytucje monetarne. Celem jest dywersyfikacja i poprawa rentowności inwestycji. Doskonale obrazuje to norweski przykład. Wartość dolarowa tamtejszych rezerw walutowych na koniec 2025 r. wynosiła ok. 76 mld dol. To niewiele wobec państwowego funduszu majątkowego, którego aktywa inwestowane głównie w spółki giełdowe osiągnęły w tym samym momencie wartość ok. 2 bln dol. Zatem nie trzeba przechowywać rezerw wyłącznie w złocie lub dolarze. Natomiast zawsze winna to być jasno komunikowana strategia zarządzania. Norweski fundusz jest w tym względzie jednym z najbardziej przejrzystych, co buduje zaufanie do waluty i gospodarki. Zaden inwestor ani analityk nie obrusza się zatem, gdy zyski z tego funduszu są wykorzystywane do bieżącego zasilania budżetu państwa.

Aby aktywnie zarządzać rezerwami, nie trzeba nawet tworzyć odrębnego wehikułu. Bank centralny Szwajcarii jest dużym udziałowcem w amerykańskich spółkach. Zachowuje się zatem nie tylko jak instytucja stojąca na straży wartości waluty (może dlatego, że w ostatnich latach frank radzi sobie aż nazbyt dobrze), lecz także jak fundusz inwestycyjny. Czesi eksperymentują z kryptoaktywami. Kazachstan obiera zbliżony kierunek.

Traktowanie rezerw walutowych jako kolejnej linii obrony państwa oznacza również, że wiążą się z tym koszty. Płaci się za płynność i ograniczanie ryzyka. Rezerwy są przechowywane w mało ryzykownych instrumentach finansowych (np. amerykańskie czy niemieckie obligacje skarbowe), które z reguły płacą niższe odsetki, niż można byłoby uzyskać z inwestycji w bardziej ryzykowne instrumenty. Bezpieczeństwo w szerokim tego słowa znaczeniu dawno nie było tak zależne od bezpieczeństwa ekonomicznego, jak ma to miejsce obecnie.

Elementów wpływających na poziom i strukturę rezerw walutowych jest masa. Pewną rzeczą dla większości gospodarek jest konieczność posiadania rezerw walutowych, a zarządzanie nimi to jedno z najważniejszych zadań władz monetarnych. ©©

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu



FOT. KHALIL ASHAWI/REUTERS/FORUM

Prezydent Recep Tayyip Erdoğan chce uczynić z Turcji regionalną potęgę

Relacje ostrożnie kordialne

Trawestując powiedzenie, że podczas gorączki złota najlepiej się zająć sprzedażą łopaty, można powiedzieć, że podczas wojny najlepiej zostać mediatorem

Mariusz

Janik

2430 lat więzienia – takiego wyroku może się spodziewać były burmistrz Stambułu Ekrem İmamoğlu, jeśli sąd przychyli się do argumentów prokuratury spisanych na 3 tys. stron aktu oskarżenia. Kolejne tysiące lat uszkładałyby się z zarzutów wysuwanych wobec 406 innych oskarżonych, z których ponad setka znajduje się w areszcie. Wśród nich są „standardowe” zarzuty korupcji, lecz przede wszystkim – współtworzenia organizacji przestępczej.

İmamoğlu aresztowano w marcu zeszłego roku, tuż po tym jak Partia Republikańska (CHP) wskazała go jako kandydata do prezydentury – w wyborach, które powinny się odbyć, wraz z parlamentarnymi, dopiero w 2028 r. Perspektywa odległa, ale 54-letni dziś był burmistrz od chwili, gdy zwyciężył w nadbosforskiej metropolii, górował nad 72-letnim prezydentem Recepem Tayyipem Erdoğanem energią oraz świeżością. Było jasne, że znajdzie się na celowniku aparatu państwa, więc zatrzymanie go w zasadzie nikogo nie zdziwiło.

I nikogo nie dziwi, że jego proces zaczął się jak polityczny spektakl – i zapewne będzie mieć taki charakter do finału. Już pierwszej rozprawie towarzyszyły demonstracje zwolenni-

ków İmamoğlu, w sali zebrała się także grupa prawników związanych z CHP, skandujących „Chcemy sprawiedliwego procesu!”, a postępowanie zaczęło się od pyskówki między sędzią a najważniejszym podsądnym. Ten drugi zażądał możliwości wystąpienia, a ten pierwszy odmówił. – To nie miejsce, w którym można wstać, wejść na podium i przemówić – pouczył İmamoğlu sędzia. – Sąd powinien szanować prawo do obrony – odkrzykiwał polityk.

A to było preludium do spektaklu, który miał nastąpić w kolejnych dniach. Po pierwszym tygodniu sąd zdecydował o ograniczeniu dostępu do sali dla dziennikarzy i obserwatorów – przede wszystkim dla zwolenników i partyjnych kolegów İmamoğlu. Zepchnięto wszystkich na koniec sali, gdzie niewiele widać i słyszać, a części z nich uniemożliwiono wejście do kompleksu więziennego, w którym odbywa się proces. I zapewne niewiele lepiej jest w przypadku czternastu innych procesów burmistrzów z CHP, które ruszyły z kopyta w całym kraju: nikt nie ma większych wątpliwości co do tego, że notable, wybrani do miejskich urzędów w marcu 2024 r. i aresztowani niemal równo rok później, płacą cenę za zafundowane rządzącej Partii Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP) wyborcze upokorzenie.

Wszystko wskazuje na to, że moment rozpoczęcia procesów nie jest przypadkowy. „W podobnych przypad-

kach należałoby się spodziewać dochodzącego z Brukseli ryku protestu. Tak stało się, gdy burmistrz trafił rok temu za kraty. Ale teraz w Brukseli zapadła cisza: nie wydano nawet oświadczenia potępiającego proces” – obrazowo pisze portal Politico. – Wcale mnie to nie dziwi – komentowała ekspertka waszyngtońskiego think tanku Middle East Institute Gönül Tol. – Wojna z Iranem z pewnością zwiększyła znaczenie Turcji dla UE, bo z tym konfliktem wiąże się ryzyko pojawienia się kolejnej fali uchodźców, co jest dla europejskich rządów scenariuszem rodem z koszmaru – dorzucala.

Turcja będzie następna

16 pkt proc. – taką przewagę miał nad Erdoğanem İmamoğlu jeszcze w styczniowym sondażu dziennika „Cumhuriyet”. Respondentów pytano o to, na kogo oddaliby głos, gdyby druga tura wyborów miała się odbyć w najbliższą niedzielę i wybór sprowadzał się do İmamoğlu i Erdoğan. 58,13 proc. głosowałyby na siedzącego od 10 miesięcy za kratami burmistrza, 41,87 proc. – na prezydenta. W badaniu ankietowani mierzyli się też z alternatywnym scenariuszem, w którym z prezydentem zmierzyłby się obecny burmistrz Ankary (również polityk CHP) Mansur Yavaş – w jego przypadku przewaga była nawet

większa: 63,17 proc. do 36,83 proc. Straty w popularności notowała też AKP: poparcie dla niej sięgało 29,72 proc., podczas gdy CHP mogłaby liczyć na 34,30 proc. głosów.

Sondaże mają to do siebie, że często rozmiągają się z rzeczywistym poziomem poparcia. Ale zazwyczaj trafnie pokazują tendencje – w tym przypadku zmęczenie trwającymi już praktycznie ćwierć wieku rządami AKP i samym Erdoğanem. Można by tu wskazywać na konkretne skandale czy wydarzenia z okresu rządów AKP, ale raczej chodzi o długotrwałe procesy – rosnący autokratyzm, bezradność w obliczu kłopotów gospodarczych (co stanowi olbrzymi kontrast w porównaniu do pierwszej dekady AKP u władzy i ówczesnej prosperity) czy stopniowo zmieniający się wizerunek Turcji w regionie i na świecie.

Ale oto kilka tygodni temu Izraelczycy i Amerykanie uderzyli na Iran – i wojna ta spadła AKP jakby z nieba. Do tego stopnia, że w pałacu prezydenckim zaczęto podobno rozmyślać o przyspieszeniu wyborów prezydenckich o rok. – Konflikt irańsko-izraelski najpewniej dostarczy prezydentowi Erdoğanowi potężnej narracji o wyspie stabilizacji na morzu chaosu – twierdzi İlker Sezer, redaktor portalu Türkiye Today w analizie przygotowanej dla ośrodka badawczego TRENDS Research & Advisory z Abu Zabi. Sprzyja temu rosnące przekonanie Turków, że ich kraj „będzie następny” na liście Izraela. – W związku z tym rząd może przesuwac środek ciężkości dyskursu politycznego z problemów gospodarczych na politykę bezpieczeństwa – dodaje Sezer.

Ankara nie usłyszała z Białego Domu słowa krytyki, w przeciwieństwie do aliantów z NATO, którzy wolą się trzymać z daleka od bliskowschodniej awantury

A w tym obszarze AKP i jej lider czują się znacznie pewniej. Notowania prezydenta i partii skoczyły już kilka miesięcy temu, gdy przez dwa tygodnie Izrael bombardował Iran. Zapoczątkowały programy zbrojeniowe uruchamiane przez poprzednią dekadę, które w założeniu mają uniezależnić Turcję od importu zagranicznego sprzętu, oraz projekt własnej Stalowej Kopuły – systemu przeciwkietowego wzorowanego na izraelskim. W ich efekcie udział rodzimej zbrojeniówki w zamówieniach armii urosł z 20 proc. u progu obecnego stulecia do 80 proc. obecnie. Drony Bayraktar, myśliwce piątej generacji TAI Kaan czy program rozwoju marynarki wojennej MILGEM to tylko najbardziej spektakularne wycinki tego obrazka.

Bezpieczeństwo i obronność stały się przy okazji poręcznym narzędziem zamykania ust krytykom oraz doskonalym uzasadnieniem twardej polityki fiskalnej, która z kolei pozwala łątać dziury po topniejących dochodach podatkowych. Podejście „Turcja będzie następna” zostało też podchwyczone przez inne partie; podobnie jak w Europie nastroje antyimigranckie przesiąkają z prawicowego marginesu do mainstreamu, przyjmowane z nadzieją, że przełożą się to na uszczuplenie wyborczego poparcia dla radykałów. W efekcie powstają teraz wizje stosunkowo dobrze funkcjonujących krajów muzułmańskich, które zostają zdemolowane za sprawą zagranicznych interwencji: tak w Turcji postrzega się Irak Saddama Husajna, Libię Mu'ammara al-Kaddafiego czy Syrię Baszszara al-Asada. A teraz Iran ajatollahów.

Piewcom tej wizji nie przeszkadza ani to, że we wszystkich tych przypadkach chodziło o dyktatury, mimo wszystko znacznie odległe od – mniej lub bardziej kulejącej – demokracji nad Bosforem, ani to, że Izrael niewiele miał wspólnego z upadkiem tych reżimów, choć przyjął to z ulgą, jeśli nie entuzjazmem. Liczy się poczucie zagrożenia, pozwalające politykom konkurować w kategorii „najtwardszy obrońca ojczyzny”, oraz niedogodności, jakie przez ostatnich 20 lat wynikały z upadku tych krajów. Irak przyniósł Turcji wzrost zagrożeń związanych z terroryzmem Al-Ka'idy, a Syria – Państwa Islamskiego. Z wszystkich upadających krajów ruszyli też tłumnie uchodźcy, którzy bardzo często lądowali w obozach i na ulicach tureckich miast, co dotyczyło zwłaszcza Syryjczyków. Ewolucja postaw wobec tych ostatnich mogłaby być zresztą cenną lekcją dla innych państw przyjmujących duże fale uchodźców.

Oslabienie, nie upadek

– W naszym regionie rozniecono ogień fitny – oznajmił szef tureckiego wywiadu İbrahim Kalin na konferencji Stratcom, jaka odbyła się w Stambule pod koniec marca. Fitna to termin, który można odnosić zarówno do wydarzeń historycznych – głównie konfliktów między wyznawcami proroka, jakie wybuchły w ciągu pierwszego stulecia po jego śmierci, oraz metaforycznie, do fundamentalnych sporów,

jakie dzielą muzułmańską wspólnotę, jak np. stosunek do palestyńskiego terroryzmu czy Al-Ka'idy. – Ta wojna kładzie fundamenty pod rozbijające naszą jedność konflikty, rozciągnięty w czasie cykl wrogości między ludami, które ten region stworzyły: Turkami, Kurdami, Arabami i Persami. Ze strony Turcji mogą podkreślić, że jesteśmy w stanie pełnej gotowości i odpowiednio sprzeciwimy się próbom takich działań – dodawał.

Wizja, deklaracja, czas i miejsce jej złożenia zapewne nie były przypadkowe. Odkąd Erdoğan poczuł się na swoim stanowisku pewniej, a perspektywa integracji Turcji z UE okazała się mało realna – zatem od końca pierwszej dekady tego stulecia – pokazał, że jego ambicje sięgają dalej niż utrzymanie się przy władzy w Turcji. Bliski Wschód – czy w ogóle świat muzułmański – w najnowszej historii często miał jakiegoś nieformalnego lidera, wytyczającego dominujący trend w życiu politycznym: w latach 50. i 60. takim przywódcą był Gamal Abdel Naser w Egipcie, po 1979 r. taką pozycję zajmował ajatollah Chomeini z Iranu, równoległe swoje wpływy rozwijał Dom Saudów. Do takiej pozycji aspirowali Husajn i al-Kaddafi, Habib Burgiba w Tunezji, Zulfikar Bhutto w Pakistanie czy lider Hezbollahu szejch Nasrallah w Libanie. I do takiej pozycji wciąż aspiruje Erdoğan.

Przed kilkunastoma laty Turcja stanowiła niemal modelowy przykład odejścia od autokracji, w której zza pleców cywilnych polityków rządzący wojskowi, do demokracji. Triumfy wyborcze AKP, reformy gospodarcze i polityczne nad Bosforem, adaptacja „islamistów” – w ówczesnej optyce swoistej „muzułmańskiej chadecji” – do mainstreamu, polityka „zero konfliktów z sąsiadami” mogły uchodzić za wzorzec dla innych krajów. I władze w Ankarze chętnie się w takiej roli ustawiały, zwłaszcza podczas arabskiej wiosny, kiedy to Erdoğan i jego ekipa nie szczędzili krytyki reżimom próbującym pacyfikować protesty w swoich krajach, a następnie pielgrzymując po regionie i próbując stworzyć jakąś namiastkę swojej strefy wpływów. Nieco wcześniej Erdoğan zaprezentował się też jako kluczowy obrońca sprawy palestyńskiej, wcześniej monopolizowanej przez państwa arabskie czy Iran. Na wiecach turecki przywódca chętnie pokazywał gest kojarzony w całym regionie z Braćmi Muzułmanami, sugerując, że jest dla tej – mającej niemal stoletnią historię – organizacji jakimś rodzajem sojusznika, a może nawet mentora.

Niewiele się z projektowanych wówczas sojuszy ostało. Ostre wystąpienia w obronie wywodzącego się z Braci egipskiego prezydenta Muhammada Mursiego – obalonego w 2013 r., zmarłego w więzieniu w 2019 r., czy po zabójstwie saudyjskiego dziennikarza Dżamala Chaszukdziego, krytyka monarchii, nie przyniosły skutku: po kilku

latach napięć Ankara wyciągnęła dłoń do egipskich wojskowych i saudyjskich arystokratów, zapominając o wcześniejszych przyjaźniach.

Wojna w Iranie ponownie tworzy jednak szansę na przymierzenie się do roli regionalnego autorytetu. Turcy chętnie przypominają, że ich granica z Iranem nie zmieniła się od 1639 r. i tyle samo liczą sobie stosunkowo harmonijne relacje między oboma krajami. Na tym tle wrogość Chomeiniego do założyciela tureckiej republiki Mustafy Kemala – na którym poniekąd próbowali się wzorować władcy z dynastii Pahlawich w Iranie, oraz niechęć Turcji do Republiki Islamskiej, którą straszono Turków przed wyborczą wygraną AKP, to jedynie incydenty. A Erdoğan szybko unormował relacje z Teheranem, zwłaszcza gospodarcze. W ciągu niespełna dekady wartość tureckiego eksportu do Iranu urosła z 350 mln dol. w 2002 r. do 3 mld w 2010 r., a irańskiego do Turcji – z 850 mln do 7 mld dol.

Turcja stała się dla Iranu jednym z kluczowych dostawców rozmaitych niedostępnych na lokalnym rynku dóbr, a Iran odwodził się sprzedając surowców. I wciąż tak jest: np. w 2025 r. Turcja produkowała ok. 135 tys. baryłek ropy dziennie, co stanowiło zaledwie 10 proc. jej zapotrzebowania na to paliwo. Co prawda, zakupy ropy w Iranie zostały kilka lat temu wstrzymane, lecz blokada cieśniny Ormuz nie jest Ankarze obojętna. Zwykle też od 13 do 15 proc. tureckiego zapotrzebowania na gaz jest zaspokajane surowcem od wschodniego sąsiada. – Dla Turcji każda dodatkowa zwyżka ceny ropy o 10 dol. przekłada się na kolejne 2,5 mld dol. deficytu w obrotach bieżących oraz co najmniej 1 proc. wyższą inflację – twierdzi Sezer. Oznaczałoby to, że rząd w Ankarze na kilku tygodniach wojny jest o dobre kilkanaście miliardów dolarów do tyłu. I że Iran jest partnerem, którego trudno zastąpić.

I tej komitywy Ankara konsekwentnie przez lata broniła. Turcy raz za razem zbywali wzruszeniem ramion postawianą administracji George'a W. Busha, że bratają się z reżimem „osi zła”. Wchodzili w rolę negocjatora podczas napięć związanych z irańskim programem nuklearnym i bronili prawa tego kraju do posiadania cywilnych instalacji jądrowych. Współpracowali z Irańczykami przy pacyfikowaniu ambicji syryjskich Kurdów (choć w wojnie domowej w Syrii oba kraje obstawiały innych graczy: Iran – reżim al-Asada, Turcja – sunnicką opozycję). Niezmiennie i jednoznacznie odrzucali sugestie zbrojne, siłowego rozwiązania sporów z Teheranem. Gdyby jako mediator odnieśli sukces i przyczynili się do przetrwania irańskiego reżimu, ich polityczna waga w regionie znacznie by wzrosła. Już nie wspominając o tym, że w scenariuszu, w którym osłabnie regionalna siła Iranu, można by objąć własnym patronatem jego dotychczasowych satelitów. – Wpływy Tur-

cji w regionie już wzrosły, ale przede wszystkim dotyczy to miejsc, gdzie rywalizacja z Iranem jest bezpośrednia: Syrii, Iraku czy południowego Kaukazu – twierdzi Grady Wilson z Atlantic Council. – Turcy wiele zawdzięczają tu kampanii Izraela z ostatnich lat, zmierzającej do osłabienia irańskiej sieci sojuszy i zredukowania jej militarnych możliwości – dodaje. Zatem Ankarze opłaca się osłabianie Teheranu, ale nie jego upadek.

Mediatorów pod dostatkiem

Paradoksalnie, mimo że Erdoğan i szef tureckiej dyplomacji Hakan Fidan – wcześniej wieloletni szef wywiadu – powtarzają, że rozwiązanie sporów z Iranem winno mieć wyłącznie dyplomatyczną formę, a prezydent Turcji ostatnio stwierdził, że atak na Iran jest pogwałceniem prawa międzynarodowego, władze w Ankarze nie usłyszały z Białego Domu choćby słowa krytyki, w przeciwieństwie do aliantów z NATO, którzy wolą się trzymać od bliskowschodniej awantury z daleka. – Myślę, że Turcja jest fantastyczna. Właśnie: fantastyczna. Trzymają się z daleka od spraw, o co ich poprosiliśmy – mówił prezydent Donald Trump podczas konferencji Future Investment Initiative w Miami. – A on jest wielkim przywódcą – dorzucił na temat Erdoğan.

Z kolei o dowódcy pakistańskiej armii, marszałku Asimie Munirze, który – niczym niegdyś tureccy mundurowi – czujnie patrzy cywilnym przywódcom swojego kraju na ręce, Trump mawia, że to jego „ulubiony marszałek”, który „zna Iran jak nikt inny”. Pakistańczycy równie chętnie jak Turcy wchodzą w rolę mediatora i mają tu podobny cel: nieformalna legitymizacja junty, zabezpieczenie najeżonych konfliktami pograniczy z Indiami i Afganistanem, udrożnienie cieśniny Ormuz, przez którą zwykle płyną do Pakistanu dostawy surowców. W pozbawionym liczących się własnych złóż kraju od początku marca ceny paliw podskoczyły o dobre 20 proc., a w porównaniu z turecką pakistańska gospodarka to mikrus.

Turcja i Pakistan muszą jeszcze dodatkowo rywalizować o miano kluczowego mediatora z państwami, które w tej roli niemalże się już wyspecjalizowały – Katar i Omanem. Pierwszy z nich budował swoją pozycję jako platformy zakulisowych negocjacji już od prawie 20 lat, pośrednicząc m.in. w rozmowach między Amerykanami a talibami. Drugi był gospodarzem m.in. wcześniejszych rozmów w sprawie irańskiego programu nuklearnego, przerwanych atakiem amerykańsko-izraelskim z ostatnich tygodni. Ankara i Islamabad mają tu jednak pewne przewagi: są bezpośrednimi sąsiadami Iranu, nie są państwami arabskimi – co w relacjach z Persami się liczy. Dla obu tych państw, niegdyś aspirujących do miana demokratycznych, legitymizacja obecnych układów władzy jest warunkiem uniknięcia – wcześniej czy później – izolacji. Gra jest zatem warta świeczki. ©



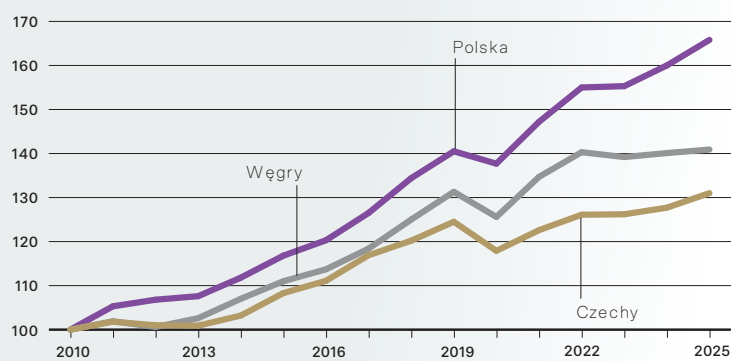
Łukasz

Wilkiewicz

PKB: Węgry osłabły w końcówce

Biorąc pod uwagę tempo wzrostu gospodarczego, Węgry na tle Polski i Czech nie wypadają źle – ich gospodarka od 2010 r. urosła realnie o 40 proc. Co prawda u nas wzrost w tym czasie sięgnął 65 proc., ale w Czechach było to niewiele ponad 30 proc. Po europejskim kryzysie zadłużeniowym (którego Węgry, mimo pozostawania poza strefą euro, też były ofiarą) tamtejsza gospodarka rozwijała się nawet nieco szybciej od polskiej. Ale zwłaszcza przez ostatnie trzy lata dynamika PKB na Węgrzech była słabsza niż w Polsce i Czechach. Jeszcze 10 lat temu PKB per capita (liczony z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej) w Polsce i na Węgrzech był podobny. Teraz Polska jest wyraźnie wyżej. ©

Produkt krajowy brutto
(2010 r. = 100)

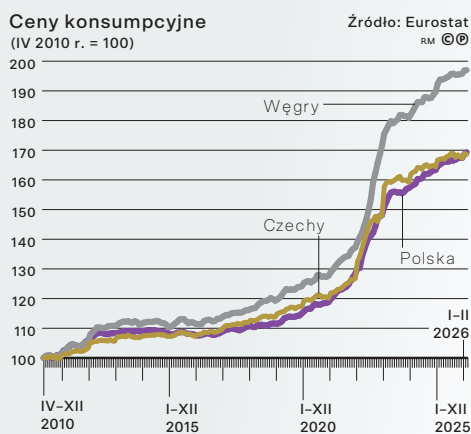


Źródło: Eurostat

RM ©

Nad Bałatonem ceny rosły szybciej

Poziom cen konsumpcyjnych na Węgrzech jest obecnie niemal dwukrotnie wyższy niż w momencie obejmowania władzy przez Viktora Orbána. Węgry mają większe powody do narzekania



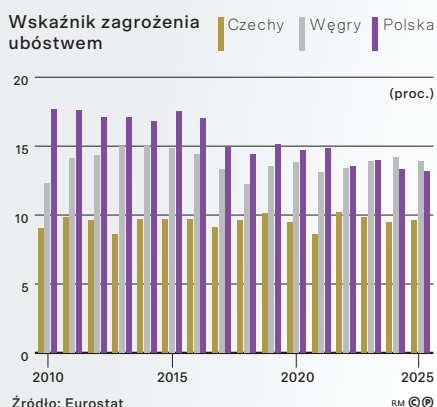
Źródło: Eurostat

RM ©

na rosnące koszty życia niż my (i dużo większe niż Czesi). Uderzyły w nich zwłaszcza wzrosty cen, które były następstwem poprzedniego kryzysu energetycznego, powiązanego z rosyjską agresją na Ukrainę. Ale i wcześniej ceny nad Bałatonem szły w górę mocniej niż w Polsce czy w Czechach. Wiązało się to z wyższymi stopami procentowymi, które przekładały się na wyższe koszty obsługi długu publicznego. ©

Gdzie większe ryzyko ubóstwa

Wskaźnik zagrożenia ubóstwem na Węgrzech jest obecnie niemal taki sam jak na początku rządów Orbána. Nie oznacza to, że przez półtora dekady nic się nie zmieniło. Oto wskaźniki odniesione do 60 proc. przeciętnego dochodu. Tu najpierw był wzrost, później stabilizacja z lekkim trendem spadkowym. Ale jeśli wziąć



Źródło: Eurostat

RM ©

pod uwagę wskaźnik uwzględniający poziom dochodów na poziomie 40 proc. przeciętnego, to na Węgrzech mamy wzrost z 2 proc. w 2010 r. do 5,2 proc. w 2025 r. (w Czechach: 2,5 proc., w Polsce: 3,8 proc.). A jeśli trzymać się wskaźnika uwzględniającego 60 proc. średniej – Polska zanotowała w ciągu półtora dekady znaczny postęp i dziś wypadamy lepiej od Węgier. Największa poprawa miała miejsce na początku rządów PiS. ©

Společzeń

Sztuczni i wpływowi

Influencerzy AI są tańsi i pewniejsi od tych z krwi i kości. I bardziej niebezpieczni, bo nie mają skrupułów, za to potrafią stopniowo zyskiwać zaufanie obserwujących, a potem wpływać na ich poglądy i działania

Ewa

Karbowicz

„Kornelia Nowak, prywatna stewardesa szejka, Dubaj, w razie zainteresowania współpracą – pisz DM”. Na zdjęciu profilowym konta na Instagramie naturalna, młoda dziewczyna, długie włosy, lekki uśmiech. Zwraca uwagę przypięte jako pierwsze zdjęcie z mamą. „Pogodziłam się z rodzicami” – czytamy w opisie. Kornelia to typowa dziewczyna z sąsiedztwa, na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia. Wiele młodych kobiet w wieku 17–30 lat może się z nią utożsamić.

– Jednego dnia latasz do Paryża, drugiego jesteś w Londynie, a wieczorem już w Dubaju. Prywatny jet, zero kolejek, luksusowe hotele. A ja w tym wszystkim, nie ukrywam, czuję się czasem jak w filmie. Ale to nie jest tylko podanie kawy, trzeba wszystkiego dopilnować: catering, wystrój kabiny, jego ulubione kwiaty. Tak, boss ma ulubione kwiaty, a nawet playlisty. Jak coś jest nie tak, pretensje do mnie. I wiecie co? Za to wszystko dostaję 15 tys. dol. miesięcznie – mówi instagramerka w jednym z filmików.

O tym, że konto jest całkowicie stworzone przez sztuczną inteligencję, ani słowa. Liczba polubień posta: 11 399, liczba komentarzy: 655 (dostęp: 31 marca 2026 r.).

Niektóre z wpisów: „Korzystaj, póki nie masz rodziny, zwiedzaj, odkładaj kasę”; „Przysięgam, jak będę dorosła, chcę taką pracę”; „A jak to zrobić?”; „Żyje się raz i jeżeli to, co robisz, sprawia ci przyjemność, dalej podążaj tą drogą. Jesteś mądrą, śliczną, a co najważniejsze, silną kobietą. Powodzenia we wszystkim,

co robisz. I tego wymarzonego mieszkania w Hiszpanii”.

Na profilu można obejrzeć 187 postów. Influencerkę obserwuje ponad 30 tys. osób. – To już coś. Widzę 300, 200, 140, 290 reakcji pod kolejnymi postami. Nie są to fenomenalne liczby. Na razie jest mikroinfluencerką – mówi Sylwia Czubkowska, dziennikarka specjalizująca się w świecie technologii cyfrowych.

Kolejne posty przedstawiające sceny z życia Kornelii mają tytuły: „Najdziwniejsza randka jako prywatna stewardesa”, „Historia pt. jak celowo puściłam się z szejkiem dla pracy”, „Czy moi rodzice wiedzą, że jestem stewardesą”, „Jak uciekłam z Polski, dostałam pracę i spotkałam bossa”, „Z jaką marką chcielibyście, abym zaczęła współpracę? Macie jakieś pomysły?”. W odpowiedziach 90 komentarzy z oznaczonymi markami.

– Trudno jednoznacznie oszacować, ile komentarzy na danym profilu jest prawdziwych, a ile generuje AI. To zależy od celu konta i poziomu inwestycji. Profesjonalni wirtualni influencerzy zazwyczaj odpowiadają na komentarze selektywnie, wspomagając się NLP, ale z ludzkim nadzorem. Natomiast konta typu spam/engagement farm potrafią generować setki komentarzy dziennie w sposób w pełni zautomatyzowany – mówi prof. Dariusz Jemielniak, badacz społeczny analizujący dezinformację w sieci. – Meta w pierwszej połowie 2025 r. usunęła ok. 10 mln kont za fałszywe zaangażowanie i podszywanie się pod twórców, a oprócz tego podjęła działania wobec ok. 500 tys. kolejnych kont za skoordynowane zachowania spamowe, w tym masowe

STWO



FOT. SHUTTERSTOCK AI GENERATOR/SHUTTERSTOCK

komentowanie generowane przez boty – dodaje.

– Konto Kornelii Nowak jest stworzone na zasadzie kontrowersyjnego kontrastu. Naturalna, normalna dziewczyna jest stewardesą szejka z Dubaju. Widać, że twórca dba, aby zdjęcia wyglądały realistycznie. Jednak polski rynek AI influencerów w porównaniu ze światowym jest jeszcze w powijakach. Prognozy nie pozostawiają wątpliwości, że ten segment wciąż będzie się rozwijał. Dziś światowy rynek marketingu influencerów jest wyceniany na 25 mld dol. Do 2032 r. ma wzrosnąć do ponad 70 mld dol. Segment AI influencerów ma mieć wartość ok. 49 mld dol., zatem będzie to większość marketingu influencerskiego – zwraca uwagę Czubkowska.

– Pierwszy typ influencerów AI tworzonych celowo jako fikcyjne postaci będące produktem komercyjnym to wirtualni influencerzy. Z regu-

ły są to profesjonalne przedsięwzięcia. Firma Ogilvy prognozuje, że do końca 2026 r. wirtualni influencerzy będą stanowili prawie jedną trzecią budżetów influencer marketingowych – zwraca uwagę Jemieliński.

Do najpopularniejszych należą cyfrowe modelki Lil Miquela, Shudu czy Aitana López. Lil ma ponad 2,4 mln obserwujących na Instagramie i zarabia szacunkowo ok. 2 mln dol. rocznie ze współprac z markami takimi jak Prada czy Calvin Klein. Aitana zgarnia ponad 1,1 tys. dol. za pojedynczą reklamę. A dokładniej zgarnia je stojąca za nią Agencja Clueless. Jak donosi Reuters, okres tworzenia, testowania i trenowania różowowłosej modelki fitness, w trakcie którego jeszcze nie zarabiała, trwał osiem miesięcy.

– W Europie znaczącą rolę odgrywa stworzona w Niemczech, promująca modę zrównoważoną i wegański styl życia Noonouri. W Azji ogrom-

ną popularność zdobyły takie projekty jak Imma w Japonii czy Rozy w Korei Południowej. Funkcjonują jako influencerki modowe i postacie popkultury – wymienia dr Ada Florentyna Pawlak, antropolożka technologii i prawniczka, wykładowczyni Uniwersytetu SWPS.

W większości przypadków za cyfrową postacią stoi zespół scenarzystów, grafików i strategów marketingowych. – Jego powstanie wymaga integracji kilku technologii: grafiki 3D i silników renderujących, systemów motion capture do animacji twarzy i ciała, modeli generatywnych do produkcji obrazów i wideo, systemów zarządzania narracją i komunikacją – wylicza Pawlak.

Liczy się dobra historia

– Wyobraź sobie influencerkę, która nigdy nie bierze urlopu, nie maru-

dzi, nie spóźnia się z materiałem, zarabia dla ciebie pieniądze, kiedy ty śpisz. Brzmi jak sen. Jednak zanim do tego doszedłem, to była katorga. Przepaliłem kupę pieniędzy. Walczyłem z algorytmami, które mnie nienawidziły – przyznaje Karol Wróbel, specjalista e-commerce, na filmiku zamieszczonym na YouTube. Na pomysł stworzenia Kornelii wpadł w lipcu 2025 r. – Za granicą temat influencerów AI już grzał, w Polsce cisza. Czułem, że social media idą w stronę, gdzie jeden twórca czy firma będą miały siatkę swoich kont tematycznych – mówi Wróbel.

Kornelię wymyślili z zespołem od zera. Jak wygląda, ile ma lat, gdzie mieszka i najważniejsze – jaka jest jej historia. Szukali czegoś kontrowersyjnego w Polsce. Dlaczego Dubaj? – Polacy mają na temat tego miasta i modelek masę stereotypów. Sami sobie dopowiadają historie – zauważa twórca influencerki.

Przyznaje, że najtrudniej było im ze spójnością postaci. – Kornelia wyglądała raz tak, raz inaczej. Od razu idealnie wyszedł nam tylko głos. Dlatego postawiliśmy na storytelling i to uratowało nasz projekt – dodaje. – Każdy z zespołu, kto podróżował kiedyś do Dubaju czy Hiszpanii, czyli miejsc, gdzie Kornelia też bywała, wrzucił prywatne nagrania do jednego folderu na dysku. Dokupiliśmy bazę wideo z luksusowymi prywatnymi jachtami i samolotami. Schemat był taki: opowiadamy historię głosem Kornelii, pokazujemy luksusowe życie, a samą Nowak pokazujemy tylko dwie-trzy sekundy – opowiada Wróbel.

Na początku nikt tego nie oglądał. Wróbel podejrzewa, że kontrowersji było za dużo i Kornelii nie dało się lubić. Zmienił więc strategię w obawie przed tym, że przez brak sympatii do influencerki żadna marka nie będzie chciała nawiązać współpracy. TikTok rósł, ale z Instagramem był problem. W końcu napisał do działu wsparcia. Minął tydzień i odblokowali im zasięgi. Wrzucili rolkę, w której Kornelia odpowiada na hejterskie komentarze z TikToka. Następnego ranka algorytm oszałał.

– Rolka zyskała 200 tys. wyświetleń. Ludzie wchodzili na profil i oglądali poprzednie posty. W komentarzach wojna: to prawda czy fałsz? Wyzywali ją, dopowiadali, czym ona się w tym Dubaju zajmuje, inni jej bronili. Każdy kolejny materiał stawał się wiralem. Zwiększyliśmy publikację postów. Po najpopularniejszej rolce „Ile zarabiam jako prywatna stewardesa” (ponad 1 mln wyświetleń w ciągu pierwszego tygodnia) wydarzyło się coś, czego nikt nie przewidział. Media głównego nurtu w Polsce uwierzyły, że ona jest prawdziwa – mówi twórca influencerki. – Spływały zaproszenia na wywiady od „Dzień dobry TVN”, „Pytania na śniadanie” i Wirtualnej Polski, ale nie zapraszali mnie ani mojego zespołu, tylko ją.

Twoje konto w social mediach nie ma tak satysfakcjonującej liczby odsłon czy obserwatorów? Zdaniem twórcy wcale nie dzieje się tak dlatego, że nie masz sprzętu czy nie je- ➤

steś modelką/modelem. – Twoje konto nie rośnie, bo twoja historia jest nudna. Dobra historia obroni się nawet wtedy, gdy bohaterka nie istnieje – dodaje.

Boty się nas uczą

– Komercyjni wirtualni influencerzy, jak Lil Miquela, Shudu czy Aitana López, są jawni. Wiadomo, że są syntetyczni. Mają za sobą zespoły marketingowe, podlegają regulacjom dotyczącym reklamy. Można się z nimi nie zgadzać estetycznie czy etycznie, ale są transparentni w tym, czym są. Ich celem jest sprzedaż produktów. Problem leży gdzie indziej. Masowo tworzone konta AI, które udają prawdziwych ludzi, stanowią zagrożenie na co najmniej czterech poziomach – tłumaczy Jemielniak. Jako pierwszy wymienia niszczenie niezależności opinii. – Jeśli jeden operator kontroluje tysiące kont, z których każde publikuje pozornie niezależne treści, to zanika warunek konieczny do funkcjonowania mądrości tłumów: niezależność opinii. Pojawia się wrażenie, że „wszyscy tak myślą”, choć w rzeczywistości jest to rezultat skoordynowanej operacji jednego podmiotu. Klasyczna forma astroturfingu, czyli symulowania oddolnego poparcia, zyskała dzięki AI zupełnie nową skalę – mówi naukowiec.

Drugi problem polega na tym, że stare metody wykrywania botów – oparte na identyfikowaniu powielonych treści – przestają działać. – Dzieje się tak, bo generatywna AI potrafi tworzyć unikalny tekst. Trzeba analizować wzorce zachowań sieciowych, a to jest znacznie trudniejsze. Poza tym to narzędzie dezinformacji państwowej. To nie teoria, lecz udokumentowany fakt. Tworzenie fałszywych profili, czyli kiedyś najbardziej czasochłonny element kampanii dezinformacyjnych, stało się dzięki AI trywialne – zauważa Jemielniak.

Trzeci problem ma wymiar psychologiczno-poznawczy. Badania pokazują, że przeciętni użytkownicy sieci mają trudności z odróżnieniem treści tworzonych przez AI od ludzkich. Co więcej, spersonalizowane i targetowane przekazy polityczne generowane przez zaawansowane modele AI potrafią być bardziej perswazyjne niż komunikaty tworzone przez ludzi – twierdzi profesor. Naukowiec zwraca uwagę, że LLM-y są skuteczne w zmienianiu głęboko zakorzenionych przekonań głównie dlatego, że dysponują ogromną wiedzą, są nieskończenie cierpliwe i dostosowują ton wypowiedzi do rozmówcy. Z kolei boty oparte na LLM-ach potrafią budować relacje z użytkownikami, stopniowo zyskiwać ich zaufanie, a następnie – przez dni, tygodnie czy miesiące – próbować wpływać na ich poglądy.

– Wiele kont nie jest tworzonych z myślą o natychmiastowym wpływie. Budują bazę obserwujących (często sztuczną, ale częściowo realną), gromadzą wiarygodność, a potem mogą zostać wykorzystane lub sprzedane temu, kto zapłaci najwięcej. To szczególnie istotne w kontekście wyborów

i kryzysów politycznych – podkreśla Jemielniak.

Według raportu IAB „Polacy w social mediach” 59 proc. uczestników badania zadeklarowało, że wykorzystuje media społecznościowe do wyszukiwania informacji – robią to równocześnie z korzystaniem lub zamiast korzystania z klasycznych wyszukiwarek takich jak Google’a. – Jeśli znacząca część treści w tych mediach jest generowana przez boty, konsekwencje dla demokracji stają się oczywiste. Warto dodać, że skala problemu rośnie szybciej niż zdolność platform do reagowania. Deepfaki przekroczyły próg krytyczny: wyeliminowały wcześniejsze łatwe do rozpoznania artefakty i są teraz dostępne dla każdego, kto ma smartfon – alarmuje prof. Jemielniak.

– Najpierw trzeba wygenerować awatar za pomocą jednego z wielu dostępnych generatorów twarzy. Treści, czyli posty, komentarze i odpowiedzi na nie, mogą być w całości generowane przez duże modele językowe (np. ChatGPT, Claude). Automatyzacja publikowania odbywa się przez narzędzia do planowania postów, boty do komentowania i lajkowania albo przez wyspecjalizowane oprogramowanie dostępne w modelu Bots-as-a-Service. W tym przypadku nie kradnie się z reguły obrazów konkretnej osoby (choć i to się zdarza – w 2024 r. Meta usunęła ponad 23 mln profili udających prawdziwych twórców). Częściej tworzy się syntetyczną tożsamość od zera – wyjaśnia Jemielniak.

Raport zajmujący się cyberbezpieczeństwem firmy Imperva wskazuje, że dostępność narzędzi AI obniżyła barierę techniczną dla twórców botów. Nawet osoby bez zaawansowanych umiejętności programistycznych mogą je tworzyć i uruchamiać na dużą skalę. To sedno problemu. – Do stworzenia prostego konta prowadzonego przez AI wystarczą: darmowy generator twarzy, darmowe konto ChatGPT lub innego LLM-a do tworzenia treści oraz jedno z wielu dostępnych narzędzi do planowania i automatyzacji postów. Bardziej zaawansowane operacje, np. utrzymywanie spójnej osobowości, generowanie realistycznego wideo, automatyczne odpowiadanie na komentarze w sposób kontekstowy, wymagają większej wiedzy technicznej i kosztów, ale i to staje się coraz bardziej dostępne dzięki platformom oferującym gotowe rozwiązania typu all-in-one – mówi prof. Jemielniak.

Influencer AI szyty na miarę

Jak donosi Reuters, według cennika agencji Pixel współpraca z influencerem AI obejmująca wideo, kilka postów i historie na Instagramie może kosztować 4 tys. dol. Gdy to samo zlecenie powierzymy prawdziwemu influencerowi, który ma 100 tys. obserwujących, koszt jest dwa razy większy.

– Firmy korzystają z influencerów AI ponieważ nie dość, że oferują niższy koszt w porównaniu z realnym influencerem, można ich doskonale kontro-

lować. Nie niosą za sobą takiego ryzyka jak człowiek. Nie porzucają nagle współpracy, nie zachowują się w nieodpowiedni sposób, co od razu wpłynie na wizerunek marki, którą reklamują. Sprawnie uczą się tego, co odbiorca chce usłyszeć, jakim językiem do niego mówić, żeby go przekonać. Można tworzyć influencerów AI świetnie dopasowanych pod gust i oferować odbiorcom dokładnie takie treści, za którymi podążą – mówi dr Justyna Hofmokl, socjolog, badaczka internetu i działaczka na rzecz wolnej kultury.

– Syntetyczna postać może jednocześnie się pojawić w kampanii mody w Paryżu, livestreamie w Tokio i reklamie w grze – zauważa Ada Florentyna Pawlak. – Nie zmienia poglądów, nie starzeje się, nie wywołuje skandali. Jest szczególnie skuteczna w środowiskach, w których granica między rozrywką a handlem ulega zatraceniu.

– Treści prowadzone przez influencerów AI mogą generować nawet o 13 proc. wyższy wskaźnik zaangażowania niż typowe posty organiczne w kontekście płatnych kampanii – dodaje Dariusz Jemielniak.

Jednak zależy to od typu. Profesjonalni wirtualni influencerzy generują istotny ruch. – Lu do Magalu, czyli wirtualny awatar brazylijskiego detaliści Magazine Luiza, ma ponad 8 mln obserwujących i pobiera ok. 42 tys. dol. za pojedynczy post sponsorowany na Instagramie – mówi prof. Jemielniak. Natomiast konta spamowe generują przede wszystkim sztuczny ruch przez wzajemne interakcje botów, co tworzy swoiste pętle sztucznego zaangażowania opisywane w literaturze na temat martwego internetu.

Internet nie umrze

– Jeszcze kilka lat temu teoria martwego internetu traktowana była jako spiskowe kuriozum. W ostatnim czasie zyskała jednak zaskakującą walidację empiryczną w kontaktach prowadzonych przez LLM-y – mówi prof. Jemielniak. – Nie jest tak, że internet pewnego dnia umrze i zostanie zastąpiony przez boty. To raczej proces stopniowego rozcieńczania treści ludzkich treściami syntetycznymi. Te drugie nie tyle zastępują pierwsze, ile tworzą hiperrzeczywistość, w której dystynkcja między nimi traci znaczenie. Pytanie nie brzmi „czy”, lecz „jak szybko” i „jakie będą konsekwencje”, w tym dla zaufania publicznego, dla mediów i dla demokracji. – Teoria martwego internetu w swojej mocnej wersji zakłada celowe działanie rządów czy korporacji. To nadal teoria spiskowa. Ale w wersji słabej, która mówi, że internet jest coraz bardziej zdominowany przez treści generowane maszynowo, co zmienia charakter dyskursu publicznego, to po prostu opis stanu faktycznego – dodaje.

– Kiedy za pierwszym razem natknęłam się na konto Kornelii na Instagramie, nie miałam pojęcia, że stworzyła ją sztuczna inteligencja. Jestem zdruzgotana, jak realistycznie można udawać i podszywać się pod człowieka – mówi Paulina Domagała,

absolwentka psychologii, socjologii i seksuologii klinicznej, właścicielka poradni Dobre Miejsce – Punkt Spotkań. Niepokoją ją liczne teksty dotyczące Kornelii na różnych portalach. – Sugerują, że można jej pozazdrościć. Kiedy młode osoby natrafiają na takie historie, w których ktoś w łatwy sposób doświadcza luksusu, bez żadnych wybitnych umiejętności, lat włożonej pracy, to obniża motywację do nauki, rozwoju, podejmowania większego wysiłku – podkreśla psycholożka. Zwraca uwagę, że młodzi ludzie, którzy naczytują się takich historii, mogą podejmować ryzykowne zachowania. – Nie oszukujmy się, zostanie prywatną stewardesą szejka i latanie z nim sam na sam samolotem nie brzmi bezpiecznie – dodaje psycholożka.

– Takie konto działa na podświadomość młodych kobiet. Zastanawiają się: Dlaczego ja tak nie mam? A może też bym mogła? Muszę coś zrobić – tłumaczy Domagała. Dodaje, że to właśnie wtedy mogą się pojawić ryzykowne zachowania. Dziewczyny myślą, że sytuacje, gdy ktoś się do nich odzywa i proponuje cudowne życie, są czymś normalnym. Dają się oszukiwać.

Z komentarzy pod postami wynika, że wiele osób zakłada, że konto jest prawdziwe. Zdaniem Pauliny Domagały, jeżeli widzimy coś w telewizji lub internecie, nie mamy odruchu kwestionowania i weryfikacji. Poza tym mózg osób do 25. roku życia jest niezmielinizowany, co oznacza, że osoby w tym wieku są bardziej emocjonalne. Ich osobowość nie jest jeszcze ukształtowana.

– Kiedy dorosły człowiek czyta różne artykuły, już wie, kim jest, jakie ma cechy. Ma drabinę wartości, która jest w miarę stała. Oczywiście może się zmieniać powoli z czasem. Natomiast jeżeli chodzi o wartości i autorytety młodych ludzi, są bardzo płynne. Mogą zmieniać zdanie o sobie i o świecie pod wpływem jednego artykułu – zauważa Paulina Domagała.

Dzięki badaniu „Teen Girls Body Image and Social Comparison on Instagram” przeprowadzonemu w USA przez naukowców Facebooka wiemy, że nawet starsza młodzież, która często korzysta z Instagrama i innych mediów społecznościowych, jest znacznie narażona na pogorszenie obrazu własnego ciała. Zwiększa się ryzyko objawów depresyjnych i lękowych.

– Odkąd media społecznościowe zostały wprowadzone, jest więcej objawów depresji w społeczeństwie. Artykuł Kiry E. Riehm w czasopiśmie „JAMA Psychiatry” informuje, że u tych, którzy częściej przeglądają media społecznościowe, z większym prawdopodobieństwem wystąpią zaburzenia lękowe lub depresyjne – zwraca uwagę Domagała. – Osoby, które scrollują, mają obniżone zdolności procesów poznawczych. Zatem mają mniejszą zdolność przetwarzania tego, co się dzieje w ich otoczeniu. Nie chodzi o zmysły, ale o aktywne działanie umysłu. Co to oznacza? Z otoczenia wychytujemy informacje, interpretujemy je i wykorzystujemy. Dzięki temu jesteśmy w stanie działać. Na przykład uwaga, pamięć,

Historia

Zmarnowana wiosna polskiej demokracji

Ostatnią nadzieją na ocalenie w Polsce demokracji parlamentarnej stał się rząd kierowany przez dawnego szambelana cesarza Franciszka Józefa

Andrzej

Krajewski

Stanem typowym dla polskiej demokracji jest ostra polaryzacja polityczna. Współcześnie tak głęboka, że wydaje się, iż nawet śmiertelne zagrożenia dla przyszłości III RP nie byłyby w stanie jej złagodzić.

Podobnie było wiek temu. Ale wtedy problem sam się rozwiązał za sprawą kryzysu ekonomicznego i skompromitowania parlamentu przez walczące ze sobą partie. Na koniec więc władzę przejął „silny człowiek” i demokrację stopniowo zlikwidował.

Długa seria nieszczęść

Przez 1925 r. rząd Władysława Grabskiego zmagał się z gospodarczymi katastrofami, które wy dawały się nie mieć końca, co zacierało pamięć o wcześniejszych sukcesach. „Jako pozaparlamentarny (gabinet – red.), rozliczany był przez Sejm głównie na podstawie swojej «fachowości» i skuteczności na polu gospodarczym” – podkreśla w monografii „Polityka gospodarcza rządu Aleksandra Skrzyńskiego” Wojciech Morawski.

Grabski okazał się znakomitym ekonomistą, o czym świadczyła jego reforma walutowa, ale nie był cudotwórcą. Tymczasem na przednówku 1925 r. Polacy odczuli skutki niedoświadczanego od lat nieurodzaju, który miał miejsce minionego lata. Ceny żywności rosły, a jednocześnie na rynkach światowych taniał węgiel i cukier, których eksport

zapewniał gospodarce II RP kluczowe dochody. Do lata 1925 r. przyniosło to fatalne skutki dla przemysłu: produkcja spadła o ponad 14 proc., wzrosło bezrobocie.

Prawidłowość, iż nieszczęścia przydają się seriami, potwierdzało wygaśnięcie konwencji górnośląskiej. Narzuciły ją Niemcom w Wersalu zwycięskie mocarstwa – tak zagwarantowano polskiemu węglowi z Górnego Śląska bezcłowy dostęp do niemieckiego rynku. Berlin pozorował chęć przedłużenia konwencji, lecz gdy tylko przestała obowiązywać, uderzył. Latem 1925 r. Republika Weimarska zablokowała sprzedaż czarnego złota z Polski, a także jego tranzyt przez swoje terytorium. Po czym obłożyla inne polskie towary tzw. cłami bojowymi. Na efekty nie musiano długo czekać. „Załamanie kursu złotego nastąpiło 27 lipca 1925 r. Dzięki uzyskanym wcześniej niewielkim pożyczkom udało się drogą interwencji giełdowej opanować na jakiś czas sytuację. Załamanie osłabiło jednak pozycję polityczną rządu” – pisze Morawski.

Z kolei z początkiem września Polaków dotknął bankowy krach. Na wieść o upadku pierwszych instytucji finansowych posiadacze oszczędności pognali do bankowych okienek. Paniczna wypłata środków przyniosła upadek kilkudziesięciu prywatnych banków w całym kraju. Wówczas stronnictwo PSL „Wyzwolenie” złożyło 6 października 1925 r. wniosek o wotum nieufności dla rządu. Poparło go 153 posłów, przeciw było 182. Grabskiego ocaliła Chrześcijańska De-

mokracja, która wbrew liderowi Wojciechowi Korfantemu uznała, że premier winien otrzymać jeszcze jedną szansę.

Idzie zima

„Na tym ponurym tle istniały dwa jaśniejsze punkty, które stać się mogły atutami w rękach przyszłego rządu. Dzięki załamaniu złotego bilans handlowy stał się dodatni już we wrześniu 1925 r. Drugim atutem był znakomity urodzaj w rolnictwie w 1925 r.” – wylicza Morawski. Jednak Grabskiemu nie dano okazji do skorzystania z tych szans, by poprawić ekonomiczną sytuację kraju. Ostateczny cios jego rządowi zadał najważniejszy sojusznik Polski.

Jesienią 1925 r. kierujący francuską polityką zagraniczną Aristide Briand postanowił rozważyć ofertę przygotowaną w Berlinie przez Gustava Stresemanna, a wspartą przez Wielką Brytanię. Dotyczyła ona ostatecznego uregulowania biegu zachodnich granic Niemiec. Przedstawiciel trzech mocarstw i szef rządu Belgii spotkali się na konferencji w Locarno, by uzgodnić szczegóły. Minister spraw zagranicznych Niemiec Stresemann proponował Paryżowi i Londynowi daleko idące ustępstwa w zamian za danie Berlinowi wolnej ręki na wschodzie i uznanie, iż granice II RP nie są ostateczne. Dzięki temu Republika Weimarska mogła podjąć próbę zmiany ich biegu, na co liczył Stresemann. Po to przecież wszczął wojnę celną, by po bankructwie Polski wymusić na niej ustępstwa terytorialne.

Zapobiec temu usiłował w Locarno minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński. Hrabia był doświadczonym dyplomatą, który zdobywał umiejętność poruszania się na międzynarodowych salonach jako młody szambelan cesarza Franciszka Józefa. Szło mu to tak dobrze, iż został oddelegowany do poselstwa w Hadze. Stamtąd awansował na attaché austro-węgierskiego poselstwa w Watykanie. Nim wybuchła I wojna światowa, zdążył pełnić różne funkcje dyplomatyczne w Berlinie, Paryżu i Waszyngtonie. Gdy Rzeczpospolita odzyskała niepodległość, jego kompetencje stały się bezcenne.

Ale w Locarno niewiele wskórał. Przedstawiciele mocarstw odmówili wpuszczenia Skrzyńskiego na salę obrad i toczył on przez kilka dni walkę, by się na nią wprosić. Swoją rolę w końcu osiągnął tylko po to, by usłyszeć, że oferta Stresemanna została przyjęta, bo Briand uznał dobre relacje z Berlinem za ważniejsze od sojuszu z Polską. Poczucie, że przyszłość II RP zaczyna wisieć na włosku, przesądziło o losie gabinetu Grabskiego. Po zakończeniu konferencji w Locarno przetrwał niecały miesiąc i 13 listopada 1925 r. premier podał się do dymisji.

W Sejmie rozpoczęły się gorączkowe negocjacje prowadzone przez przywódców stronnictw politycznych, których ciągle przybywało. „Najbardziej rozbita była lewica i rozbitcie to od czasu wyborów w 1922 r. jeszcze się pogłębiło. Z dwóch kolejnych secesji z «Piasta» (PSL „Piast” – red.) powstał Związek Chłopski. W 1924 r. z PSL «Wyzwolenie» wyodrębniła się Niezależna Partia Chłop-



ska, ściśle związana z ruchem komunistycznym. W 1925 r. z tegoż «Wyzwolenia» wyszedł Klub Pracy, partia nieliczna, lecz ważna” – wylicza Morawski.

Na tym liczba partii biorących udział w negocjacjach się nie kończyła i w porowach sięgała ona nawet 10 śmiertelnie ze sobą skłóconych stronnictw. Jednak zapal do awantury gasiła w nich tym razem świadomość, że nadciąga ciężka zima, która z racji katastrof ekonomicznych i politycznych może okazać się ostatnią w historii II RP. To zmuszało do szukania kompromisu. Dlatego głównym kandydatem na nowego premiera stał się, znany z umiejętności negocjacyjnych, hrabia Skrzyński.

Łączenie ognia z wodą

Dodatkową rzeczą dopingującą przywódców stronnictw do zawarcia 20 listopada 1925 r. wielkiej koalicji – od narodowej prawicy po socjalistów – była plotka głosząca, iż Józef Piłsudski zamierza przejąć władzę siłą. Jej źródłem stała się wizyta, z jaką do marszałka udała się 12 generałów – wszyscy zadeklarowali, iż zrobią, co im rozkaże. Ale ten ostudził ich chęć do puczu.

Wizyta generałów w Sulejówku paradoksalnie pomogła w pokonaniu programowych przepaści dzielących narodową prawicę i socjalistów. „W koalicyjnym rządzie Skrzyńskiego, obok przedstawicieli Związku Ludowo-Narodowego, Chrześcijańskiej Demokracji, NPR i PSL



FOT. NAC

Premier Aleksander Skrzyński
w swoim gabinecie

«Piasta», zasiedli w fotelach ministerialnych dwaj reprezentanci PPS; byli nimi: Moraczewski i Ziemięcki, obejmujący teki robót publicznych oraz pracy i opieki społecznej” – wyliczał w opracowaniu „Polityka Polskiej Partii Socjalistycznej w okresie przewrotu majowego” Jerzy Zawistowski. Zarówno dla socjalistów, jak i narodowców była to trudna sytuacja. Wzajemna wrogość sięgała końca XIX w., zaciekle zaś walkę polityczną oba stronnictwa toczyły (czasami przy użyciu rewolwerów) już od czasów rewolucji, która ogarnęła Kongresówkę w latach 1904-1905.

Ale niezwiązane z żadną partią Skrzyńskiemu udawało się znajdować rozwiązania akceptowalne dla obu stron. Wynegocjował zatem kluczowy kompromis między nowym ministrem skarbu Jerzym Zdziechowskim a przywódcami PPS. Zgodzili się oni na przyjętą tuż przed Bożym Narodzeniem 22 grudnia 1925 r. ustawę sanacyjną. Zamrazała ona na trzy miesiące płace wszystkich pracowników państwowych, w tym nauczycieli i kolejarzy. To de facto oznaczało ich obniżkę z powodu inflacji. W zamian wywodzący się ze stowarzyszenia Lewiatan (Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów) Zdziechowski musiał zaoferować socjalistom przyjętą 29 grudnia ustawę o zabezpieczeniu podaży artykułów powszechnego użytku. Dała ona rządowi prawo do wyznaczania maksymalnych cen podstawowych

dóbr konsumpcyjnych: żywności, obuwia i ubrań. Do tego dorzucił wysokie cła na zboże eksportowane z Polski. W praktyce zablokowały one jego wywóz. Tak PPS chciał doprowadzić do obniżki cen żywności i jednocześnie kosztów życia w miastach. Przy okazji wbijano klin w sojusz endecków z ziemianami skupionymi wokół PSL „Piast”.

Skrzyńskiemu udało się też znaleźć kompromis z Piłsudskim. Tekę ministra spraw wojskowych oddał Lucjanowi Żeligowskiemu, jednemu z ulubionych generałów komendanta. O swoich negocjacjach opowiedział potem marszałkowi Sejmu Maciejowi Ratajowi. Ten zapisał w dzienniku, iż wedle relacji premiera Piłsudski „odgrażał się, że weźmie się do roboty politycznej i do następnego Sejmu wprowadzi 300 swoich posłów, wystawiwszy do wyborów program negatywny”. Na pytanie Skrzyńskiego o ów program odparł: „Bić kurwy i złodziei, mości hrabio”.

Ugodowość nowego premiera sprawiła, że z początkiem 1926 r. pojawiła się szansa na wyciszenie politycznych

sporów, zrównoważenie budżetu państwa i opanowanie kryzysu. Wystarczyło jednak kilka tygodni, by prysły wszelkie nadzieje.

Odwlekanie upadku

„Do pierwszych rozdzwięków doszło w styczniu 1926 r. Zdziechowski, opracowując projekt budżetu na 1926 r., przyjął milcząco założenie, że redukcje płac pracowników państwowych dokonane w pierwszym kwartale dadzą się utrzymać przez cały rok. Socjaliści poczuli się oszukani” – pisze Morawski. W organie prasowym PPS ukazał się artykuł oskarżający pravicę o złamanie umowy koalicyjnej. „W połowie stycznia wśród kolejarzy zaczęła krążyć jednodniówka «Dzień Ludu», oskarżająca PPS i NPR (Narodową Partię Robotniczą – red.) o zdradę robotniczych interesów. Był to wyraźny sygnał, że ustępstwa dokonane w ramach porozumień koalicyjnych mogą na dłuższą metę oznaczać utratę poparcia części klasy robotniczej” – uzupełnia Morawski.

Skrzyński wraz ze Zdziechowskim gasili pożar, oferując płatne roboty publiczne dla bezrobotnych oraz wydłużenie wypłacania zasiłków z 13 do 17 tygodni. Mimo to pod koniec stycznia minister robót publicznych Jędrzej Moraczewski zawnioskował o przywrócenie podatku majątkowego. Na początku walki z hiperinflacją nałożył go na najbogatszych gabinet Grabskiego. Danina budziła sprzeciw elektoratu endeckiego, zatem Zdziechowski odmówił.

Wówczas na posiedzeniu kierownictwa PPS Moraczewski zażądał opuszczenia przez socjalistów koalicji. „Ponieważ nie uzyskał poparcia większości, sam złożył dymisję, motywując ją oficjalnie stanem zdrowia. Na stanowisku ministra robót publicznych zastąpił go Norbert Barlicki. Choć koalicja przetrwała ten moment, kryzys ujawnił jej głęboką chwiejność i narastające wpływy piłsudczyków wewnątrz PPS” – zauważa Morawski.

Koledzy z partii nie wiedzieli, że Moraczewski działał wówczas zgodnie z wtycznymi Marszałka, któremu pozostał ślepo oddany. Tymczasem Piłsudski spróbował doprowadzić do upadku rządu zdominowanego przez wrogich mu narodowców. Gdy działania Moraczewskiego nie przyniosły takiego skutku, nakazał podać się do dymisji Żeligowskiemu. Generał udał się do Skrzyńskiego, żeby wypieścić rozkaz komendanta. Ale premier najpierw sprytnie się dowiedział co jest prawdziwą przyczyną dymisji. Po czym zaszantażował ministra, że ujawni prawdę opinii publicznej. Skonfundowany obrotem sprawy generał zgodził się pozostać na stanowisku, co uratowało koalicję przed rozpadem. Piłsudskiego „zawiódł Żeligowski, który był zbyt prymitywny do subtelnej gry politycznej, i zawiódła PPS, która nie dopuściła, by dymisja Moraczewskiego spowodowała skutki polityczne” – twierdził w monografii „Przewrót majowy” Andrzej Garlicki.

Tak koalicja przetrwała do marca. Na początku miesiąca Skrzyński, który pełnił też funkcję ministra spraw zagranicznych, udał się na trzytygodniową sesję Ligi Narodów do Genewy. Wów-

czas Zdziechowski i socjaliści znów wzięli się za łby. Zmotywowała ich do tego fala strajków i zamieszek w kolejnych miastach. Minister skarbu chciał protesty tłumić siłą, PPS domagał się spełnienia żądań robotników. Wreszcie 25 marca socjaliści postanowili doprowadzić do upadku rządu. Wówczas, ku ich zaskoczeniu, dawny członek partii, a zarazem bliski współpracownik Marszałka Bogusław Miedziński przekazał im, że Piłsudski chce, aby gabinet Skrzyńskiego przetrwał. Marszałek uznał go za alternatywę o wiele lepszą od odbudowy koalicji Chjeno-Piasta, narodowców z ludowcami. Ta interwencja przedłużyła wegetację rządu Skrzyńskiego o kolejny miesiąc.

Upadek nie tylko rządu

Miotający się premier nadal wierzył, że uda mu się osiągnąć sukces. Z początkiem wiosny 1926 r. wydatki państwa się ustabilizowały i nie utracono kontroli nad inflacją. Pieniądze na załatanie deficytu budżetowego pozyskano w sprytny sposób: Bank Polski emitował partie drobnych monet, dzięki czemu wzrost gotówki w obiegu okazywał się mniej zauważalny. Skrzyńskiemu udało się też zorganizować na początku 1926 r. wizytę w Polsce amerykańskiego ekonomisty Edwina Kemmerera. Od jego opinii gubernator Banku Rezerw Federalnych w Nowym Jorku uzależnił udzielenie Polsce dużego kredytu stabilizacyjnego. Po raz pierwszy II RP zainteresowały się też koncerty z Atlantyku. W lutym bank W.A. Harriman and Co. i koncern Anaconda Copper Mining przejęły niemiecką firmę Giesche SA, dominującą na polskim rynku metali kolorowych. Po mrocznej jesieni 1925 r. świeża nadzieja na poprawę koniunktury gospodarczej.

Ale 17 kwietnia Zdziechowski zaproponował dalsze mrożenie płac, zwolnienie 18 tys. kolejarzy i podniesienie podatków o 10 proc. PPS odpowiedział programem dodruku pieniądza, połączonym z rządowymi inwestycjami. Socjaliści zażądali też odmrożenia płac. Minister skarbu odmówił. Ale kierownictwo PPS tym razem nie zamierzało ustąpić i ogłosiło przejście do opozycji. „Z punktu widzenia socjalistów pozostanie w rządzie do 1 maja było zbyt ryzykowne, gdyż w takiej sytuacji święto pierwszomajowe wygrałoby propagandowo komuniści. Wydaje się, że ten wzgląd zadecydował. 21 kwietnia Skrzyński w imieniu całego gabinetu złożył na ręce prezydenta dymisję” – pisze Morawski.

Stanisław Wojciechowski dymisji nie przyjął i nalegał na hrabiego, by się nie poddawał, bo polska demokracja może nie przetrwać chaosu i protestów społecznych. Rzeczywiście nastroje były fatalne. Ludzie zupełnie nie odczuwali poprawy sytuacji gospodarczej, natomiast zamrożenie płac zdążyli zauważyć. Skrzyński walczył o przetrwanie gabinetu do 5 maja 1926 r., kiedy to opuścił go nawet Związek Ludowo-Narodowy. Endecy uznali bowiem, że pora odnowić sojusz z Wincentym Witosem. Ale nowy rząd Chjeno-Piasta oznaczałby dla Piłsudskiego odizolowanie od wpływu na armię i sprawy państwowe. Na to zaś Marszałek nie zamierzał się zgodzić, nawet jeśli wszczęcie przez niego buntu oznaczałoby koniec polskiej demokracji. ©

Przeżyć własną śmierć

Opowieści o ucieczkach z rąk wroga należą do najbardziej dramatycznych historii czasów wojennych. Niezależnie od tego, jaka to wojna. Wiele mówią o chęci życia, ale i o tym, ile ludzie są gotowi poświęcić dla innych

Sebastian

Pawlina

Zatrzymali się przed drzwiami. Niemiec otworzył je i wszedł pierwszy. Tuż za nim do pomieszczenia wsunął się więzień. Rozejrzał się. Pokój był nieduży i skromnie umeblowany. Jedno biurko, stolik, fotel, nad którym wisiał portret Reichsführera-SS Heinricha Himmlera, trzy krzesła oraz przeszklona szafka zawieszona na ścianie między dwoma oknami. Centralne miejsce zajmował oficer gestapo. Poważnie wyglądający, z inteligentnym wyrazem twarzy. Obok niego siedział tłumacz. Przed nimi on, Stanisław Miedza-Tomaszewski, grafik i żołnierz Związku Walki Zbrojnej, a teraz kandydat na jedną z setek tysięcy ofiar nazistowskiego terroru.

Zaczął się jak zawsze, od personaliów. Po wypełnieniu odpowiedniego druku prowadzący śledztwo zapytał, czy oskarżony przyznaje się do przynależności do nielegalnej organizacji. Ten bez wahania odparł, że nie. Ta pewność bardziej potrzebna była jemu niż mężczyźnie za biurkiem, który dysponował namacalnymi dowodami. Ale oficer pytał dalej. W pewnym momencie wstał i spokojnym krokiem podszedł do Stanisława. Rzucił, że nie po raz pierwszy słyszy podobne kłamstwa, więc niech nie próbuje sztuczek, tylko powie, co wie, a w nagrodę zostanie zwolniony do domu, do rodziny. Uwagi o rodzinie należały do stałego repertuaru oprawców z al. Szucha. Wiedzieli, że człowiek prędzej się złamie w obawie o najbliższych, z tęsknoty za nimi, niż chroniąc samego siebie.

Niemiec nie naciskał. Zdjął tylko z ręki zegarek i kładąc go na biurku tak, żeby Miedza-Tomaszewski widział wskazówki, powiedział, że daje mu pięć minut na zastanowienie się. „Nie jestem pisarzem i trudno mi wyrazić, co człowiek w takich wypadkach czuje i jak się wewnętrznie łamie. Mimo woli przychodziły mi na myśl wszystkie okupacje Polski, całe kolumny takich jak ja, znanych i nieznanymi konspiratorów, którzy ginęli i po których nie pozostała nawet pamięć. A przecież życie jest tak krótkie” – zanotował grafik po latach.

Myśli tłukły mu się po głowie, aż wyznaczony czas minął. Gestapowiec sięgnął po zegarek, założył go z powrotem na rękę

i raz jeszcze zaczął zadawać pytania. Z nadzieją, że Polak na krześle „zmaźrał”.

Przecucie

Kilka dni wcześniej Miedza-Tomaszewski, konspiracyjny pseudonim Malarz, był wolny – na tyle, na ile może być wolny człowiek w kraju pod okupacją, gdzie – ten ponury żart krążył po ulicach miast w Generalnym Gubernatorstwie – bać się należy kar powyżej wyroku śmierci, bo ten i tak można dostać za cokolwiek. „Malarz” nie dopuszczał myśli, że może zginąć, tak jak wsiadając na pokład samolotu, nie rozważamy prawdopodobieństwa tego, że zginie w katastrofie lotniczej. Ta niechęć do akceptowania najczarniejszych scenariuszy jest naszym mechanizmem obronnym przed poddaniem się obsesjom, które z łatwością mogłyby zdemolować naszą psychikę.

Dodatkowo przełom lata i jesieni 1941 r. nie należał do najmroczniejszych okresów okupacji. Daleko mu było do załamania, które ogarnęło polskie społeczeństwo latem poprzedniego roku, tuż po klęskę Francji. Nie mógł się też równać z koszmarem przeżywanym przez mieszkańców Generalnego Gubernatorstwa jesienią 1943 r. i następnej zimy. Niemcy wprowadzili wtedy terror na nieznaną wcześniej skalę. Osobne miejsce na tej liście zajmuje Zagłada ze wszystkimi swoimi fazami i etapami.

Ale tamtego dnia w wojenną rutynę wkradło się coś, co zburzyło zdrową obojętność Stanisława. Najpierw udał się na ul. Świętokrzyską, gdzie mieściła się redakcja konspiracyjnej gazety „Ajencja Prasowa”. Na miejscu w rękawy kurtki wszył klisze z nowym numerem. Tak przygotowany ruszył do drukarni w Alejach Jerozolimskich, gdzie miał zostawić przesyłkę. „Wrześniowe słońce paliło mocno. Ludzie przechodzili szybko, gdzieś tam przewijał się Niemiec. Teraz już odczuwałem wyraźny niepokój. Zdawało mi się, że jestem obserwowany. (...) Wyraźnie czułem na swoich plecach jakieś spojrzenie. Zwolniłem kroku. Starałem się opanować. Nigdy jeszcze nie byłem tak zdemolowany” – wspominał.

To przekonanie, że coś jest nie tak, stanowi stały motyw w opowieściach o aresztowaniach. Jan Karski w „Tajnym



państwie” historię swojego zatrzymania zaczyna od uwagi, że pomimo zapewnien ze strony wielu osób czuł, że wisi nad nim „coś złowieszczonego”. Faktycznie w trakcie próby przejścia na Węgry dostał się w ręce Niemców.

Sam moment złapania również często wyglądał podobnie. Zaczynało się nagle i brutalnie. Albo grupa ubranych po cywilnemu gestapowców wpadała do mieszkania bladym świtem, wcześniej tłukąc w drzwi kolbami i wrzaskami domagając się wpuszczenia do środka, albo po założeniu „kotła” w mieszkaniu wciągała do niego każdego, kto się zbliżył. Miało to wprowadzić ofiary w stan szoku. „Byłem ogluszony, zupełnie oszołomiony i zanim się połapałem, co się dzieje, dwóch słowackich żandarmów wywlekło mnie z łóżka. W kącie izby stało dwóch uśmiechających się żandarmów niemieckich” – zapamiętał Karski.

Identycznie było u Miedzy-Tomaszewskiego. Po tym, jak dotarł do drukarni i zapukał do drzwi, usłyszał za sobą szybkie kroki. Poczł silne uderzenie w tył głowy. Kolejne wspomnienie: leży na podłodze i ktoś oblewa go zimną wodą, potem podrywają go do góry, wykręcają ręce, zadają pierwsze pytania na zmianę po polsku i po niemiecku. Ta scena wracała do niego później w różnych sytuacjach.

Metody

Pierwsze katowanie odbyło się jeszcze w drukarni. „Rozpoczęła się nowa seria młócenia. Twarze gestapowców, pokój i wszystko wirowało mi przed oczami w jakimś krwawym obłoku” – pisał „Malarz”. To bicie nie miało na celu zmu-

wienie go do natychmiastowych zeznań. Niemcy wiedzieli, że to się nie uda. Rządzą kiedy się udawało. Chcieli pokazać, że zatrzymani są w ich rękach, że ich los, ich życie, zależą od nich. I jeśli będą chcieli ich zamęczyć, to zrobią to.

Stanisław szybko się o tym przekonał. Po kilku dniach spędzonych w wilgotnej i zatłoczonej celi w więzieniu na Pawiaku wsadzono go do ciężarówki i zawieziono do gmachu przy al. Szucha 25. Do września 1939 r. znajdowała się tam siedziba Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Gdy Niemcy weszli do Warszawy, zajęli gmach na potrzeby swoich służb policyjnych, w tym gestapo. Kilka przeróbek wystarczyło, by budynek zaczął funkcjonować jako w pełni samodzielne centrum terroru. Śledczy dysponowali umieszczonym w piwnicy aresztem, w którym mogli trzymać więźniów tak długo, jak chcieli. Większość jednak dzień w dzień rano wyjeżdżała z Pawiaka, gdzie po południu wracała. Tak jak „Malarz”.

Jego pierwsza wizyta w al. Szucha przebiegała zgodnie ze stałym scenariuszem. Tam nic nie działo się przez przypadek. Wyrzucano więźniów z ciężarówki, a potem, popędzając ich wrzaskami i biciem, zaganiano do „tramwaju”, jak nazywano zbiorową celę, w której oczekiwali na przesłuchanie. Każdy z tych elementów miał pomóc złamać tych ludzi.

Zagrywka z zegarkiem również była elementem planu. Strażnicy i oficerowie śledczy prowadzili z oskarżonymi grę. Wmawiali im, że jeśli przyznają się do zarzucanych im czynów i wskażą innych winnych, to wyjdą na wolność – i to jeszcze tego samego dnia. Tworzyli uludę wyboru. Tymczasem jedyny wybór doty-



FOT. ROMAN SUMIK/FORUM

Kadr z filmu opartego na historii Stanisława Miedzy-Tomaszewskiego „Umarłem, aby żyć” w reżyserii Stanisława Jędryki

czył tego, czy zostaną zakatowani w trakcie „badania”, czy też trafią do obozu koncentracyjnego.

Miedza-Tomaszewski szybko przekonał „swojego” gestapowca, że będzie trudnym partnerem do współpracy. Z uporem twierdził cały czas, że w drukarni znalazł się, bo ktoś poprosił go o dostarczenie przesyłki. Nic więcej. Zaprzeczał też, że należy do tajnej organizacji. Kilka minut po akcji z zegarkiem do pokoju wszedł więc „wysoki Niemiec o twarzy bandyty. Stał się z moimi plecami. Zimny pot zaczął znowu oblewać całe moje ciało. Czułem, jak z czoła na oczy spływają mi strużki potu”. Po chwili oficer za biurkiem zaczął zadawać te same pytania, co wcześniej. Stanisław trzymał się raz przyjętej wersji. Tym razem odpowiedzi spotkały się z reakcją. Mężczyzna za nim uderzył go pięścią w głowę, a potem znowu i jeszcze raz. Później doszło kopanie i smaganie pejczem wyjętym z oszklonej szafki wiszącej na ścianie. Leżąc na podłodze, grafik cieszył się, że na Pawiaku posłuchał rady starszego mężczyzny, by owinął dolną część pleców swetrem. W ten sposób chronił nerki, których urazy często doprowadzały do zgonów więźniów.

Nagle posadzili „Malarza” na krześle. Tylko po to, żeby mógł spojrzeć na mężczyznę, którego aresztowano wraz z nim

w drukarni. „Twarz jego była trupio biała, oczy podsiniałe – po raz pierwszy i ostatni w życiu zobaczyłem człowieka o tak potwornie sinych wargach”. Przeprowadzono go w jednym celu. Miał zaświadczyć, że przyznał się do wszystkiego, więc Stanisław też może przestać kłamać. To kolejny często stosowany zabieg. Przesłuchujący liczyli, że pod wpływem takiego spotkania dwóch znających się osób, czasami powiązanych różnymi uczuciami, jedna z nich powie coś, co wcześniej ukrywała. Po tę metodę wiosną 1943 r. sięgnął gestapowiec przesłuchujący Jana Bytnara „Rudego”, konfrontując go z Henrykiem Ostrowskim „Heńkiem”, kolegą z Szarych Szeregów.

W przypadku Miedzy-Tomaszewskiego manewr zawiódł. Obaj mężczyźni ruchami głowy dali sobie znać, że nic nie powiedzieli. Niemcy wyłapali ten niemy dialog. Wściekli wygięli ręce doprowadzonemu i zabrali go do innego pomieszczenia, a „Malarza” znowu zaczęli bić. „Gestapowiec stojący za mną złapał mnie za czoło i z całej siły odchylił moją głowę do tyłu. Równocześnie zaczął pięścią okładać mnie po szczękach. Mając głowę odchyloną do tyłu, nie mogłem odpluć krwi, która zaczęła mnie dławić. Bez przerwy zadawano mi pytania, skąd szedłem i dokąd miałem iść. Bełkotałem ciągle jedno w kółko. Bicie przerwano”. Nie na długo.

Załamanie

W kolejnych dniach na zmianę dawano mu spokój i „badano”. Ale zdarzyło się coś jeszcze. Dostał gryps. Organizacja przez jednego z więźniów funkcyjnych przekazała mu, że ustalili źródło wyspy, że ma się trzymać ustalonej wcześniej wersji historii, że jego rodzina jest bezpieczna, tak samo jak znani mu z konspiracji ludzie i lokale. Ucieszył się. „Wielka otucha wstąpiła w moje serce”.

Ale poczucie osamotnienia potęgowane przez zamknięcie oraz strach przed katorżowaniem ulgę zamieniły w lęk. Informacja o tym, że na zewnątrz nikomu nic nie grozi, zaczęła przybierać coraz bardziej ponure kształty. „Dla nich oznaczało to bezpieczeństwo. Dla mnie: «Jesteś odcięty od organizacji, organizacja może będzie się tobą opiekowała, lecz dla niej jesteś wykreślony z rejestru. Jesteś już zaspany»». Takie już jest prawo i chcąc, czy nie chcąc musi się nim kierować każda organizacja konspiracyjna. Nie człowiek, a sprawa jest ważna. Był to moment całkowitego mojego psychicznego załamania. Zrozumiałem, że zdany jestem całkowicie na łaskę gestapo”.

Stan ten zaczął się pogłębiać. Przesłuchania oraz obserwowanie brutalności strażników więziennych, którzy bez wahania mordowali więźniów z nienawiści albo dla satysfakcji, spowodowały, że przestał wierzyć we własną odporność na ból. Po jednym z kolejnych pobytów w al. Szucha wysłał na zewnątrz gryps, w którym oznajmił, że boi się dalszego śledztwa i prosi o truciznę. Po trzech dniach dostał odpowiedź. „Trucizna będzie wysłana po porozumieniu się z rodziną. Sami nie możemy decydować. Wytrzymaj”. Podobne próby albo samodzielne próby samobójcze są kolejnym stałym elementem opowieści o ucieczkach. Wielu spośród tych, którzy później byli określani mianem „bo-

haterów”, największe pokłady odwagi znajdowali w sobie wówczas, gdy bali się, że ból zmusi ich do wydania kogoś, i byli gotowi odebrać sobie życie.

Stanisław czekał. Raz jeszcze przekazał organizacji wiadomość, że już nie daje rady. Żądał trucizny. Zza murów więziennych przyszła kolejna odpowiedź. Jej autor oświadczył, że nie wyśle mu żądanej substancji. Zamiast tego uwolnią go.

Od tego momentu w rzeczywistości „Malarza” nastąpiły zmiany. Najpierw zabrano go do więziennego szpitala, choć nie zgłaszał takiej potrzeby. Oficjalna przyczyna: ból zębów. Dwoje polskich lekarzy, Anna Sipowicz-Gościńska i Felicjan Loth, pogrzebało mu w ustach i odesłało do celi. Dwa dni później dostał silnej gorączki. Pobrano mu krew do badania, a potem posłano do pawiackiego szpitala. Zrozumiał, że zabieg dentystryczny był elementem planu. Nie chodziło o zęby, ale o to, żeby zarazić go tyfusem plamistym. Wszyscy wiedzieli, że Niemcy panicznie boją się zarazy.

Gdy chory walczył z 40-stopniową gorączką i majakami, na zewnątrz montowano akcję odbicia go z rąk Niemców.

Operacja: wolność

Co jakiś czas podchodził do niego ktoś z polskiego personelu i informował, że ma jeszcze trochę wytrzymać, że pojawiły się trudności, ale wszystko się uda, niech tylko się nie poddaje. Któregoś dnia gestapo stwierdziło jednak, że wystarczy chorowania i Miedza-Tomaszewski musi trafić znowu na „badania” w al. Szucha. Stanisław i wtajemniczony w sprawę jego uwolnienia personel wpadli w popłoch. On sam był gotów spróbować ucieczki przy Niemcach. Nie po to, żeby im się wyrwać, ale żeby zabił go na miejscu. Polski lekarz nadzorujący oddział, na którym leżał, odmówił jednak Niemcom wydania pacjenta, dopóki nie dostanie wyników badań krwi potwierdzających, że już nie zaraża tyfusem. Tego wymagały przepisy. Gestapowcy zgodzili się odłożyć zabranie więźnia o jeden dzień. Trwał więc z czasem.

Stanisław dostał polecenie, aby o godzinie 16 zaczął udawać zapalenie wyrostka robaczkowego. Szczegółowo opisano mu, jak ma się zachowywać. Zgodnie z poleceniem w umówionym momencie zaczął jęczeć. Przybiegła pielęgniarka, po niej lekarz. Nie dawał im się dotknąć, wił się z udawanego bólu. Szybko zapadła decyzja. Zabierają go do szpitala na ul. Płocką na Woli. Dla uwiarygodnienia historii przed Niemcami podali mu jeszcze zastrzyk wywołujący gorączkę, po czym zapakowali do karetki pogotowia i ruszyli.

W tym samym czasie po warszawskich szpitalach jeździła przebrana za sanitariuszy ekipa konspiratorów. Szukali trupa. Takiego, który po ucharakteryzowaniu będzie wyglądał jak Miedza-Tomaszewski. Cierpiącego „Malarza” miano zabrać na salę operacyjną, z której po jakimś czasie wyszedłby lekarz i oznajmił Niemcom, że ich więzień zmarł w trakcie zabiegu wycięcia wyrostka. Gestapowcom okazano by ciało znalezione w jednej z kostnic, a Stanisław opuściłby szpital z nowym życiorysem.

Powodzenie akcji zależało od znalezienia odpowiedniego nieboszczyka. A to nie było łatwe. Najpierw znajomy lekarz oferował zwłoki staruszka, który w żaden

sposób nie mógł być podobny do niespełna 30-letniego mężczyzny. Inny chciał oddać ciało wychudzonego żołnierza, podczas gdy ten, kogo miał udawać, był cały opuchnięty. W końcu się udało. Rankiem tego samego dnia w jednym ze szpitali na gruźlicę zmarł młody chłopak. Sanitariusze zabrali go do karetki i ruszyli pędem. Musieli dojechać na ul. Płocką przed karetką więzienną.

Dwa pogrzeby

Pojazdy minęły się po drodze. Sanitariusze z noszami i trupem rzucili się pędem po schodach do sali operacyjnej, po drodze omal nie gubiąc ciała, które zapomnieli przywiązać. Kilka minut później w tej samej sali znalazł się Miedza-Tomaszewski. Wyznaczony do przeprowadzenia operacji doktor Leon Manteuffel szybko upodobnił zmarłego do „Malarza”. Ostrzygł go na jeża, a z włosów uformował wąsy. Ostrzegł jednocześnie będącego tak blisko wolności Stanisława, że jeśli Niemcy połapią się w mistyfikacji, to on wraz z personelem udadzą, że pomyłono pacjentów, a wtedy faktycznie będą musieli go operować.

Czarny scenariusz się nie spełnił. Niemcy, wściekli, zaakceptowali utratę więźnia. Ich złość ukoili łapówka, którą rodzina zapłaciła za oddanie ciała. Zwłoki chłopca, które pomogły w uwolnieniu Miedzy-Tomaszewskiego, wróciły tam, skąd przyjechały, żeby z kolei jego rodzina mogła je zabrać i pochować. To nie był jednak koniec wędrujących po Warszawie nieboszczyków. Potrzebne było bowiem ciało, które miało zostać wydane rodzinie Stanisława, zaś Niemcom liczba trupów musiała się zgadzać. I wtedy w Szpitalu Ujazdowskim znaleziono żołnierza, który zmarł kilka dni wcześniej. Ponieważ nikt się nie zgłaszał po ciało, można je było zabrać – na stałe.

Niedługo później, w zimny grudniowy dzień, na warszawskim Cmentarzu Bródnowskim odbyły się dwa pogrzeby. W trakcie pierwszego chowano do zbiorowej mogiły ciała ze Szpitala Ujazdowskiego. W jednym z worków zamiast żołnierza była kukła. Rubryki „zmarli” i „pochowani” i tutaj nie mogły się różnić. Na drugim końcu cmentarza stało kilka, może kilkanaście osób. Wśród nich kobieta, która płakała nad swoim synem, którego – jak była przekonana – właśnie żegnała. Prawdę wyjawiono jej później, gdy sprawa przycichła i było pewne, że gestapo nie znacznie się interesować naszym zgonem.

Stanisław Miedza-Tomaszewski przeżył. Wojnę i własną śmierć. Na kanwie jego losów w latach 80. powstał filmowy tryptyk z otwierającym go „Umarłem, aby żyć” w reżyserii Stanisława Jędryki z Andrzejem Grabarczykiem w roli „Malarza”. Ten prawdziwy przez długie lata przychodził na swój grób, „aby zapalić świeczkę i położyć kwiaty na grobie nieznanego człowieka, który uratował mi życie”. Stojąc tam, przypominał sobie tamte miesiące. Bo choć zwieńczyła je brawurowa akcja, która nawet wśród opowieści wojenno-okupacyjnych wybija się swoją wręcz filmową niesamowitością, to są przede wszystkim historią o ludzkiej wytrzymałości i jej granicach, o tym, że bycie bohaterem może polegać na akceptacji własnej słabości. ©

Kultura

Śpiewaj, kobieto

Kiedy Iran i Izrael walczą ze sobą, one próbują zjednoczyć ludzi poprzez muzykę. Izraelskie artystki urodzone w Iranie

Piosenkarka Rita Jahan-Farouz rozmawia z bratem uprowadzonego przez Hamas żołnierza podczas wiecu w Tel Awiwie. 16 grudnia 2023 r.



FOT. ALEXI J. ROSENFELD/GETTY IMAGES

Konrad

Wojciechowski

Kwitnące tulipany wirują, a firanki na wietrze trzepoczą na widok dziewczyny o długich warkoczach, która za moment weźmie za męża przystojnego młodzieńca. „Jego włosy jak róże, policzki jak krew”. Otacza ich feeria kolorów i wesoły gwar, bo perski ślub nie jest tylko świętem pary młodej. To zbiorowy festiwal szczęścia. „Życzcie sobie weselnych przygód” – śpiewa Rita Jahan-Farouz.

Piosenka „Shah Doomad” przypomina trochę „Sto lat młodej parze” w wykonaniu Kayah i Gorana Bregovicia, ale Rita informuje na swoim streamingowym kanale muzycznym, że „Król pan młody” (tak można przetłumaczyć tytuł) jest tradycyjną perską pieśnią, którą jej mama śpiewała na weselach i uroczystościach rodzinnych. Internautom się podoba. Pod filmikiem z piosenką na YouTube, który uzyskał 200 tys. wyświetleń, roi się od pozytywnych komentarzy: „Jestem Irańczykiem i jestem dumny z Rity”, „Z niecierpliwością czekam na dzień, kiedy Rita z zespołem zagrają w Iranie”, „Niech Bóg ma w swojej opiece Iran i Izrael”.

Rita pochodzi z Iranu, ale karierę muzyczną zrobiła w Izraelu. Ma ponie-

kład dwie ojczyzny. I od dawna próbuje je choć trochę do siebie zbliżyć.

Emigranci z Teheranu

Wokalistka doświadczyła rasowej wrogości na własnej skórze jako dziecko. Urodziła się w rodzinie żydowskiej w Teheranie, a rodzice ukrywali swoje pochodzenie przed perskimi sąsiadami. Kiedy Rita miała osiem lat, starsza siostra wróciła zapłakana ze szkoły, ponieważ nauczycielka kazała jej odmówić muzułmańską modlitwę przy całej klasie. Oburzony ojciec zdecydował o wyprawie. Rodzina zamieszkała pod Tel Awiwem. Był początek lat 70.

W nowej szkole trudno było się Ricie zadomowić. Nie rozumiała, co mówią do niej rówieśnicy. „To było trudne. Podczas przerwy dzieci zwykle mnie wyśmiewały: «Jesteś Persem». Na początku myślałam, że mnie witają i mówiłam «Szalom» [hebrajskie powitanie – red.] Po jakimś czasie zaczęłam rozumieć, że ze mnie drwią, wróciłam do domu i powiedziałam rodzicom: «Zabierzcie mnie tam, gdzie mieszkałam. Nie chcę tu być»”.

Z czasem Rita odkryła dla siebie muzykę. W czasie odbywania obowiązkowej służby wojskowej przyszła piosenkarka trafiła do koszarowej kapeli IDF 80 i tam poznała przyszłego męża Ramiego Kleinsteina. Duet bardzo się spodobał wysłanniczce firmy wydawniczej CBS Records, która usłyszała parę podczas jednego z koncertów, więc zaangażowała Ritę i Ramiego do zaśpiewania w ścieżce dźwiękowej do filmu „The Pnimiya”. Po wyjściu z wojska Rita poszła do szkoły aktorskiej, ale nie zrezygnowała z muzyki. Wkrótce z przyszłym mężem trafiła pod skrzydła wytwórni Helicon Records.

Ajatollahowie zatykają uszy

Kariera Rity rusza jak lawina. W połowie lat 80. wydaje ona świetnie przyjęty debiutancki album, wygrywa plebiscyty na najlepszą piosenkarkę, a w 1990 r. reprezentuje Izrael na konkursie Eurowizji i chociaż utwór „Shara Barchovot” zajmuje dopiero 18. miejsce, o piosence robi się głośno.

Ricie marzyła się międzynarodowa sława, dlatego już rok po debiucie nagrała płytę „Breaking Those Walls” z anglojęzycznymi piosenkami. Znalazła się na niej przeróbka wielkiego hitu The Police – „Roxanne”. Pożyczonymi piosenkami nie odkryła Ameryki, ale nowa wersja starego przeboju spodobała się w Europie, głównie publiczności belgijskiej i francuskiej. Sukces klipu do utworu „Tzipor Zara” – nagrodzonego w kategorii najlepszego zagranicznego teledysku w konkursie MTV Europe – dowiódł natomiast, że Rita ma dobre wyczucie muzyczne i potrafi płynąć na fali komercji.

– Jest jedną z najsłynniejszych i najpopularniejszych piosenkarek w Izraelu – potwierdza Yeal Offenbach, izraelska menedżerka i producentka muzyczna. – Prawdziwa diwa. Wydała swą pierwszą płytę jeszcze jako studentka, a sin-

MUZYKA

gle i album natychmiast zyskały popularność i ogromny sukces na listach przebojów. Śpiewa głównie piosenki popowe. Wiele z nich skomponował jej mąż, a teksty piosenek piszą bardzo dobrze autorzy.

Rita użyczyła głosu bohaterce Pocahontas w hebrajskiej językowej wersji hitu kinowego, a do muzycznych przedsięwzięć angażowała tancerzy i akrobatów.

Dla estradowej showmanki popkultura zrobiła się za ciasna, więc wdepnęła w wielką politykę – dała koncert w rezydencji prezydenta Izraela Szimona Peresa podczas jego spotkania z premierem Włoch Silvio Berlusconim. A w marcu 2013 r. wystąpiła w sali Zgromadzenia Ogólnego ONZ, gdzie została przedstawiona przez ówczesnego sekretarza generalnego tej organizacji – Ban Ki-Moona, który utwierdzał ją w ważnej społecznej misji. „Muzyka legła u podstaw wielu powiązań między krajami i kulturami, a wiele dobrych rewolucji zaczęło się właśnie od muzyki” – powiedział Ricie południowokoreański polityk.

Artystka była już po wydaniu albumu „HaSmachot Sheli”, lepiej znanego pod angielskim tytułem „My Joys”. Tam właśnie trafiło weselne „Shah Doomad”. – Jej perski album był dość odważnym krokiem w karierze – przyznaje Offenbach. – Nagrała głównie piosenki, z którymi dorastała, słuchając ich podczas rodzinnych wydarzeń w społeczności perskiej w Izraelu. Stąd nazwa „My Joys”. Artystka opisała cały projekt jako odnajdywanie swoich wewnętrznych korzeni i uważam, że jest to jedna z najbardziej ekscytujących produkcji Rity. Na tym albumie śpiewa razem z matką.

Płytę pilotował singiel „Shane” oparty na perskiej muzyce ludowej, ale unowocześniony przez popową aranżację i taneczny rytm w stylu techno. Piosenka „izraelskiej Madonny” spodobała się Irańczykom. Artystka odebrała wiele pozytywnych wiadomości. „Piękne i emocjonalne pieśni, które śpiewasz w tym szalonym czasie kontroli islamskiej, przynoszą uczucie bliskości i miłości między Iranem i Izraelem” – przeczytała w jednym z e-maili. W drugim ktoś napisał, że chętnie wybrałby się na koncert Rity do Izraela, nawet jeśli po powrocie do Iranu miałby zostać poddany represjom. Nie było w tych słowach przesady. Irańskie władze zakazywały słuchania muzyki z wrogiego kraju. Ajatollahowie uznali piosenki Rity za przejaw imperialistycznej „soft power”, która dąży do zdestabilizowania ich reżimu. Płyta „My Joys” krążyła więc po Teheranie w drugim obiegu, kopiowana i przemycana z rąk do rąk.

Piosenkarka chętnie opowiadała mediom o swojej irańskiej przeszłości. „Jako czteroletnie dziecko byłam na przyjęciu zaręczynowym mojego wujka w Teheranie. Posadzono mnie na krześle, dano mikrofon i zaśpiewałam piosenkę z akompaniamentem dwóch skrzypek. Tej nocy, wracając do domu, powiedziałam rodzicom, że zostanę piosenkarką. To było powołanie” – zwierzyła się w rozmowie z „Emaho Magazine”. A dziennikarze „Jewish Telegraphic Agency” usłyszeli od wokalistki, że po przeprowadzce do Izraela zabrała ze sobą część Ira-

nu. Płytę „My Joys” traktuje jako zbiór bogatej kultury perskiej, którą chce się dzielić, bo pozostaje jej częścią.

W złotych maskach

W Polsce Rita jest szerzej nieznaną, nawet w środowisku world music. Wypytuję artystów, menedżerów, animatorów związanych ze sceną ludową, podsyłam linki do nagrań piosenkarki, ale zwykle otrzymuję te same odpowiedzi: „nie znam”, „pierwsze słyszę”. W muzyce Rity miesza się mnóstwo różnych wątków – klasyczny śpiew w popowych ramach, trochę muzyki klezmerskiej, trochę rocka. – Trudno cokolwiek z tego zrozumieć – takie recenzje słyszę od rozmówców po przesłuchaniu piosenek z albumu „My Joys”.

Pewien znawca sceny folk wyjaśnia, skąd ta rezerwa w ocenie dorobku Rity. – Ona w ogóle nie funkcjonuje w środowisku world music, nie pojawia się na znaczących festiwalach, nie była notowana w rankingu World Music Charts Europe, a przecież wydała perską płytę, więc ktoś to powinien odnotować. Jej żywiołem jest jednak pop i to pewnie przynajmniej częściowo wyjaśnia, dlaczego niewiele o niej wiemy – mówi.

Na wieść, że szukam artystów, którzy zabierają głos w kwestiach irańsko-izraelskich, dziennikarka Polskiego Radia Urszula Nowak poleca mojej uwadze Liraz Charhi, prywatnie... bratanicę Rity. – To artystka o ustabilizowanej estetyce. I wyraźnym komunikacie politycznym. Nagrała nawet potajemnie płytę z artystkami z Iranu, co nie było proste. W krakowskiej Synagodze Tempel [koncert odbył się w lipcu 2022 r. z okazji 31. Festiwalu Kultury Żydowskiej – red.] te artystki wystąpiły w złotych maskach, a rok później podczas koncertu Szalom na Szerokiej część z nich ponownie zasłoniła twarze – opowiada Urszula Nowak.

W występie w Krakowie piosenkarkę towarzyszyły małoletnie córki. Jej mama jest Iranką, ojciec Izraelczykiem, a w zespole Liraz grają muzycy z Izraela. – Zwykle nosi ze sobą flagę Iranu. Także w Izraelu, na koncercie, który tam widziałam wiele lat temu, miała ją od samego wyjścia na scenę. No i przede wszystkim śpiewa w języku farsi, ma publiczność w Iranie. Wiem na pewno, bo ją o to pytałam – dodaje dziennikarka, która przeprowadzała wywiad z artystką w czasie pobytu Liraz w Polsce.

Rewolucja hidżabowa

Liraz początkowo związała się z małym ekranem. Wybiła się w kilku izraelskich serialach, dzięki czemu upomniął się o nią Hollywood. Role u boku Seana Penna („Fair Game”) czy Christophera Walkena („A Late Quartet”) wzmocniły jej pozycję w przemyśle rozrywkowym. W filmach i serialach odgrywała napisane role. Muzyka pozwoliła Liraz przemówić własnym głosem, ale w imieniu kobiet, które w jej ojczyźnie były uciszane i marginalizowane przez religijnych fundamentalistów.

Pierwsza płyta Iranki na uchodźstwie w Izraelu – „Naz” (2018) – była

zbiorem coverów irańskich kobiecych standardów. Kolejne – „Zan” (2020) i „Roya” (2022) napisała z myślą o matkach, babkach, córkach, siostrach i żonach, których prawa łamie reżim ajatollahów. Odzew był znaczący. Do Liraz napisało wiele kobiet z ojczyzny. Wysyłały potajemne wiadomości, używając fałszywych kont, aby uniknąć represji. Nierzadko dramatyczne opowieści inspirowały artystkę do pisania kolejnych utworów.

Wydaną przed sześcioma laty płytę „Zan” otwiera piosenka „Zan Bezan”, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „Śpiewaj, kobieto”. Tytuł utworu można zinterpretować także jako apel do działania. „Jerusalem Post” napisał, że piosenka stała się ścieżką dźwiękową irańskiej „rewolucji hidżabu”. Kobiety publikowały filmy w mediach społecznościowych, na których zrywają welony w rytm „Zan Bezan”.

– Teksty Liraz dotyczą wolności kobiet, są wyrazem sprzeciwu wobec państwowej kontroli i opresji, a także synonimem solidarności ponad podziałami. Szczególnie album „Zan” ma taki wydźwięk. Mówi o potrzebie emancypacji. Dzięki nagłośnieniu problemu kobiet mieszkających w Iranie piosenki Liraz nabierają politycznego znaczenia, nawet jeśli brzmią niczym historie miłosne – komentuje Maciej Szajkowski, animator polskiej sceny world music i lider Kapeli ze Wsi Warszawa.

Po zrealizowaniu płyty „Zan” artystka odetchnęła z ulgą. „Spełniło się moje największe marzenie” – wyznała na odwrocie okładki albumu. Dodała też, że nagrania pomogły jej przezwyciężyć ból związany z oczekiwaniem na możliwość odwiedzin kraju pochodzenia rodziców. Oni też – jak rodzice Rity – wyemigrowali z Iranu w 1970 r. „Moim największym marzeniem było pisać muzykę irańską z Irańczykami. Misja wykonana” – powiedziała piosenkarka „Guardianowi” w październiku 2020 r. I dodała: „Nie zgadzam się z niczym, co wiąże się z postrzeganiem Iranu jako naszego wroga, bo ja tak nie żyję. Ja postępuję odwrotnie”.

– Pamięć o kraju rodziców to bardzo ważny wątek twórczości Liraz – potwierdza Szajkowski. – Ona traktuje język perski nie tylko jako artystyczny środek wyrazu, on jej służy przede wszystkim do wyrażenia emocjonalnej ekspresji. Piosenki Liraz nie są nostalgią „turystyczną”. Dają do myślenia: „kim jestem między tymi światami?”.

Trzecia płyta, „Roya”, była wynikiem potajemnej współpracy artystów z Iranu i Izraela pod patronatem Liraz. „Spotkaliśmy się mimo zakazów” – podsumowała pracę nad tym krążkiem. Dlatego „Roya” jest albumem złożonym z sekretów. „Dźwięk i piosenka wypełniają 43-letnią pustkę, dając głos tym kobietom, które tak długo były milczące” – spuentowała artystka.

Potępij albo milcz

Historia Liraz rządzi się paradoksami. Zabierającej głos artystce w obronie wolności drugiego człowieka to samo prawo zostało wkrótce odebrane. Wszystko zaczęło się 7 października 2023 r. od ataku bojowników Hamasu

ze Strefy Gazy. Wśród ofiar było pięciu członków rodziny Toma Avniego – męża Liraz. Artystka pogrążyła się w żałobie, a Izrael niemal zrownał Strefę Gazy z ziemią. Świat nazwał ten odwet ludobójstwem. A artyści z Izraela szybko trafili na czarną listę, gdzie figurowali już trędowaci dla przemysłu rozrywkowego Rosjanie.

Liraz przeżywała to podwójnie – z powodu żałoby nie miała siły nagrywać ani koncertować przez pół roku. Do tego nie była mile widziana na międzynarodowych festiwalach. Organizatorzy mówili wprost: „Nie przyjeżdżaj!”. Dostawali anonimowe groźby, że mają nie zapraszać muzyków z kraju, który morduje palestyńskie ofiary. Liraz nie była w stanie tego pojąć. Przecież jej piosenki nawoływały do pokoju i miłości, nagrywała je razem z artystami z wrogiego Iranu, bo przecież muzyka jest wolna od podziałów i uprzedzeń. Nikogo to już nie obchodziło. Od października 2024 r. do czerwca 2025 r. piosenkarka nie zagrała żadnego koncertu za granicą.

Kiedy w końcu pozbierała się po traumie i przeplakała żalobę, weszła do studia. Niestety, brytyjski wydawca jej ostatnich płyt (Glitterbeat Records) opóźniał, jak tylko mógł, wydanie kolejnego albumu artystki z Izraela. „Aby dotrzymać terminu, musiałam unikać rakiet na autostradzie Ajjalon w Tel Awiwie, jadąc do studia nagraniowego z córkami, które nie chodziły w tamtym czasie do szkoły. Wydawca zwołał spotkanie na Zoomie, aby zakomunikować mi, że muszę milczeć, bo to nie jest odpowiedni moment na wydanie albumu. Hej, obowiązuję nas kontrakt! Dlaczego miałabym milczeć? Przez całe życie walczyłam o bezgłośnie kobiety. Dorastałam w domu, w którym byłam uciszana. Nie chciałam milczeć” – opowiadała Liraz portalowi Bridges for Peace (B4P) w czerwcu 2025 r.

Czarę goryczy przelała propozycja od wydawcy, aby piosenkarka wprost potępiła izraelskie zbrodnie w Strefie Gazy i opublikowała w swoich serwisach społecznościowych krótkie oświadczenie: „Uwolnić Palestynę”. Tego było za wiele. „Próbowałam wyjaśnić, że musimy się bronić. Oni nie rozumieli, o czym mówię. Jestem bardzo cierpliwą osobą, ale wtedy zdecydowałam, że nie chcę mieć z nimi nic wspólnego” – wyznała dziennikarzom.

Cztery nowe piosenki Liraz ukazały się na małej płycie „Enerjy” nakładem wytwórni Batov Records. To kolejny artystyczny manifest artystki i głośny krzyk przeciwko próbie zamykania jej ust. Zresztą nie tylko jej. Pierwsza piosenka z płyty nosi tytuł „Haarf”, czyli „Rozmowa”, i jest zachętą do nawiązania dialogu izraelsko-palestyńskiego. Przerażliwy jazgot klawiszy wykorzystanych w nagraniu oddaje atmosferę nerwowej wymiany zdań między skłóconymi narodami. Przypomina bezsensowną paplaninę w serwisach społecznościowych, która tylko zaostrza retorykę, pogłębia podziały i nakręca wrogość. „Zaczęliśmy pisać «Haarf» razem, w barwnych czasach, które szybko się zmieniły i stały się o wiele mroczniejsze” – powiedziała artystka po wydaniu płyty ponownie w całości zaśpiewanej w języku perskim. ©©



FOT. WOJTEK GORSKI

Wenezuela spała na ropie. Ale właśnie się budzi

Rafał Woś

Wystarczyło kilka tygodni blokady cieśniny Ormuz, żeby świat stanął w obliczu widma kryzysu paliwowego. W takiej sytuacji zawsze pojawia się pytanie o alternatywne źródła ropy. Jest to – w gruncie rzeczy – pytanie o Wenezuelę, kraj o największych potwierdzonych złożach tego surowca.

Wenezuela jest ekonomicznym paradoksem. Z jednej strony państwo to, dosłownie, śpi na ropie. W pasie rzeki Orinoko znajduje się prawie 20 proc. światowych zapasów surowca. To więcej niż w Arabii Saudyjskiej czy w Rosji. Jednocześnie Wenezuela korzysta zaledwie z małego ułamka tego bogactwa. Na południowoamerykańską republikę przypada dziś ledwie niecały 1 proc. globalnej produkcji ropy. Marne 0,7 mln baryłek dziennie.

I nie jest tak, że Wenezuela jest gospodarką technologicznie zapóźnioną, która nie zdołała sobie zbudować mocy produkcyjnych potrzebnych do eksploatacji surowca. Początki wydobywania ropy nad Orinoko sięgają lat 20. XX w. W szczytowym momencie (połowa lat 70.) tamtejsza produkcja była na poziomie 3,5 mln baryłek dziennie.

To wówczas, w środku kryzysu naftowego, władze Wenezueli postanowiły wzmocnić suwerenność swojego panowania nad zasobami i dokonały pierwszej (częściowej) nacjonalizacji wydobywania. W wyniku tego eksperymentu nastąpił odpływ kapitału zagranicznego. Branża się jednak nie załamała: produkcja ropy spadła do 2,5 mln baryłek, lecz zyski (z powodu wzrostu cen surowca) nie zmniejszyły się. Potem na przełomie XX i XXI w. potwierdzono, że kontrolowane przez Caracas zasoby są jeszcze większe, niż pierwotnie sądzono. Tak zaczęła się druga młodość tamtejszej ropy. Produkcja ponownie zaczęła dochodzić do 3,5 mln baryłek, a udział w rynku sięgał 4,5–5 proc.

Politycznie był to czas, gdy do władzy doszedł lewicowo i patriotycznie nastawiony Hugo Chávez. Stawiał on na redystrybucję (czyżby zaskarbił sobie

sympatię rodaków) i na niezależność od kapitału zewnętrznego (czym ściągął sobie na głowę wrogość USA). Kurs kolizyjny z Wujem Samem sprawił, że Chávez zaczął orbitować w kierunku Rosji i Chin. Dla biznesu naftowego był to scenariusz katastrofalny. Bojkot wenezuelskiej ropy przez największych odbiorców i dalszy odpływ zachodniego kapitału nigdy nie został skompensowany przez napływ zamówień i pieniędzy od nowych sojuszników. Produkcja ropy spadała w Wenezueli z niecałych 3 mln baryłek w 2007 r. do mniej niż 0,5 mln w 2020 r.

Niedawno ekonomiści Niloofar Adel, Andrea Bastianin, Luca Pedini i Marta Visconti (wszyscy z Fondazione Eni Enrico Mattei) przedstawili ciekawą analizę. Wynika z niej, że gdyby nie polityczne decyzje ekipy Cháveza (połączenie nacjonalizacji ze zmianą geopolitycznych sojuszy), to Wenezuela mogłaby dalej wydobywać 3–3,5 mln baryłek dziennie. I utrzymywać udział w rynku globalnym na poziomie 4 proc. Co więcej – powrót do takiego wydobywania jest ciągle możliwy. I nie wymaga odkrywania na nowo koła. Wystarczy trochę kapitału pozwalającego unowocześnić technologie.

Warto, w kontekście tych wszystkich faktów, ocenić zdarzenia ostatnich miesięcy – wojskową akcję USA zakończoną pojmaniem antyamerykańskiego prezydenta Nicolása Madura. Kto nie boi się myśleć suwerennie, ten zdoła dostrzec tu początek planu uruchomienia uśpionych wenezuelskich zasobów ropy. Co – stawiam dolary przeciwko orzechom – nastąpi w ciągu kilku następnych lat. A gdy to się stanie, zupełnie zmienią się reguły gry na tym rynku.

©

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Czy jabłonie kwitłyby na nieurodzajnych glebach?

Skoro redystrybucja możliwości nie jest osiągalna, czy alternatywą może być redystrybucja ex post?

Lucas van der

Velde

Autor jest ekonomistą GRAPE

Sukces zawdzięczamy zazwyczaj dwóm elementom: wysiłkowi oraz okazji. Wysiłek to mozolna praca i pokonywanie trudności w dążeniu do realizacji marzeń; okazja zaś to warunki, które pozostają poza naszą kontrolą, lecz wpływają na nasze zdolności do osiągnięcia celów.

Dobrym przykładem łączenia okazji i talentu są niektórzy aktorzy w USA. Na przykład Jamie Lee Curtis zdobyła swoją pierwszą rolę w filmie („Halloween” w 1978 r.) dzięki rodzicom aktorom, lecz to jej praca przyniosła jej w końcu Oscara w 2023 r., niemal pół wieku później. Przykładem z naszego podwórka może być sukces zespołu Kwiat Jabłoni i rodzinne związki tworzącego go rodzeństwa z branżą muzyczną.

Zasadniczo, w społeczeństwie opartym na merytokracji, powinno się nagradzać talent i wyrównywać szanse, aby każdy miał takie same możliwości. Jednak często praktyczne ograniczenia sprawiają, że ten cel jest nieosiągalny, a w niektórych przypadkach nie wiemy nawet, które okoliczności mają znaczenie dla osiągnięcia sukcesu. Skoro więc redystrybucja możliwości nie jest osiągalna, czy alternatywą może być redystrybucja ex post?

Peter Andre (Uniwersytet w Bonn) przeprowadził eksperymenty, aby zrozumieć, jak postrzegamy redy-

strybucję w sytuacjach, gdy warunki początkowe nie są równe. W głównym badaniu jego uczestnicy wykonywali serię powtarzalnych zadań i każdy mógł zdecydować, ile pracy wykona i jak intensywnie. Część osób otrzymywała wyższą stawkę za swój wysiłek. I zgodnie z oczekiwaniami ci lepiej wynagradzani wykonali więcej zadań niż ci gorzej opłacani.

W drugiej części badania każdego z uczestników sparowano z osobą z przeciwnej grupy oraz z menedżerem, którego zadaniem było podzielenie wypracowanej kwoty między pracownikami. Menedżer wiedział, którym pracownikom obiecano wyższą, a którym niższą stawkę. Zaobserwowano trzy wzorce zachowań menedżera: libertariański, w którym nie korygowano różnic w wynagrodzeniu; egalitarny, w którym każdy otrzymywał połowę dochodu; i merytokratyczny, w którym dochód był proporcjonalny do odsetka wykonanych zadań.

Menedżerowie kierujący się podejściem merytokratycznym płacili za wykonane zadanie. Przymykali oczy na nierówności w wynagrodzeniu i na to, jak ta różnica wpłynęła na wyniki. Nawet gdy badanym przypomniano o różnicach stawek, większość nie zmieniła podziału: wynagradzała wyłącznie na podstawie tego, co zostało wykonane.

Dlaczego menedżerowie nie uwzględniali nierówności początkowych przy ustalaniu płac? W tym ujęciu można ich podzielić na dwie grupy. Pierwsza chciałaby uwzględnić różnicę w zachętach, ale nie wiedziała, ile zadań pracownicy wykonałyby, gdyby zaoferowano im inną stawkę. Gdy informowano, że w identycznych warunkach wykonywaliby oni tyle samo zadań, menedżerowie ci zmieniali podział na korzyść słabiej opłacanych osób. Druga grupa menedżerów nie zmieniła zachowania – dla nich tylko liczba faktycznie wykonanych zadań była istotna. Dla nich informacja o tym, co mogłoby się stać, gdyby zaoferowano inną stawkę, była zbędna.

Choć eksperyment miał charakter uproszczonego, problem braku informacji kontrfaktycznych dotyczy wielu realnych sytuacji. W szerszej skali brak informacji o tym, jak wydajny byłby dany pracownik, gdyby miał dostęp do lepszej edukacji, może wpływać na opinie dotyczące dofinansowania szkół. W lokalnym wymiarze brak perspektywy kontrfaktycznej może kształtować decyzje menedżerów przy podziale premii między członków zespołu pracujących w różnych warunkach. Uzupelnienie tej brakującej perspektywy może odegrać kluczową rolę w budowaniu sprawiedliwszego społeczeństwa. ©